№ 11. Warszawa, dnia (28 Lutego) 12 Marca 1898 roku. Rok XL.

TYGODNIK MÓD I POWIEŚCI

Pismo Illustrowane dla Kobiet

PRENUMERATA WYNOSI:
W Warszawie
Kwartalnie . . . . rs. 1.
Za odnoszenie do domu kwartalnie kop. 10.
Z przesyłką pocztową
Kwartalnie . . . . . rs. 1 kop. 25.

Adres Redakcyi i Administracyi:
Warszawa, Chmielna № 26.
TELEFONU 106.

PRENUMERATA WYNOSI:
We Lwowie i Krakowie
Kwartalnie złr. 2. Na prowincyi złr. 2 cent. 30.
W Poznaniu
Kwartalnie marek 3. Na prowincyi mar. 3 pf. 50.
Cena ogłoszeń: Wiersz petitu 1 szpalt. lub jego miejsce kop. 12. Nadesłane wiersz 1 szpaltowy garmontu kop. 50.

Pedagogia feljetonowa.

Jakiemkolwiek określeniem będzie chciała kiedyś potomność zcharakteryzować stulecie nasze, napewno stuleciem zastoju nazwanem ono nie będzie. Eksperymenta w polityce, w ekonomii społecznej, eksperymenta w prawodawstwie, w pedagogii — nadewszystko w pedagogii. Tutaj stanowią one kalejdoskop prawdziwy reform i dążeń, w którym tuż obok godnego uznania pomysłu, spotykamy najniespodzianie jakiś kaprys sportową marką opatrzony — obok wskazań poważnych nauki, wystrzał krańcowego reformatorstwa, który jeśli nie przestrasza wprost śmiałością bezprzykładną, to przynajmniej ze względu na to, że stanowi przerzucenie się z jednego krańca w drugi, niedowierzaniom i wątpliwościom szerokie pole otwiera.

A tymczasem, jeśli gdzie, to w pedagogii chyba tego rodzaju przerzucań się i przeskoków najtrudniej może zrozumieć, i dlatego nie przestają nas nigdy zadziwiać pisma niby to poważnieniejsze stylem, które pochwyciwszy pierwszy lepszy tego rodzaju pomysł u obcych, z godną pożałowania skwapliwością zalecają go do zastosowania natychmiastowego czytelnikom swoim. Ani rozważy pismo takie, że sąd dyletancki wogóle w kwestyi pedagogicznej pożądanym nie jest, ani myśli poddać dyskusyi sfer kompetentnych tego, o czem mu opowiada dziennikarstwo obce, ale tak od siebie, tak bez namysłu: Hosanna! Objawienie! — tylko chwytaj i aplikuj na żywym organizmie własnym.

Doprawdy, że bezkrytyczność naszej prasy codziennej, stanie się w krótkim już chyba czasie przysłowiową, — bezkrytyczność i obcesowość zarazem. Feljetonista lekkomyślnym jest jak ptak, i podobnie jak ptak szczebiocze na każdy głośniejszy dźwięk, który się około niego podnosi. Powiedzmyż o co chodzi.

Parę dziesiątków lat już minęło, jak rozpoczęto za granicą zakładać szkolne kasy oszczędności. Donosiły o tem w swoim czasie pisma, podawał i „Tygodnik" sprawozdanie swoje, bo niby jest nad czem namyśleć się, a przedewszystkiem jest co zaznaczyć jako symptom, albo nawet jako kierunek epoki. Wciągać młodość, a nawet wiek dziecięcy do sprawy mnożenia materyalnego bogactwa, to przecież krok nie bylejaki, i warto się dwa razy obejrzeć za siebie, i spojrzeć na to, co przed nami, zanim się go postawi nieodwołalnie.

Wysunęła się przed innemi narodami w tem dziele Francya, co nie powinno dziwić nikogo, zarówno ze względu na niepospolitą sprężystość i niezmierne bogactwo tej społeczności, jako i na specyalne wskazania, jakich temu narodowi nie szczędzą jego przewodnicy — wskazania, z których jedno usłyszał także z ust swojego wybitnego męża stanu, przed paru dziesiątkami lat, i po ostatnich klęskach szczególnie je wziął do serca, jak to aż nadto dobrze widzimy. Zbogacajcie się — zbogacajcie — zbogacajcie — powiedział Francuzom umierający Tiers, no i zbogacają się nie na żarty, i widzą w tem, pokazuje się, przyszłość swoją, a co ważniejsza, uważać muszą bogactwo materyalne jako rękojmię podstawową, a może jedyną, boć gdyby nie była ona u nich taką przeważającą resztę względów, toby do dzieła mnożenia grosza nie zaprzęgali prawie że niemowląt swoich. To trudno! Każdy naród ma swoje ideały, i każdy w czem innem widzi posłannictwo i zbawienie swoje. Mogły wieki średnie wystawić krucyatę dzieci — może Francya dzisiejsza widzieć przewodnią ideę swoją w nagromadzeniu takiej wielkiej góry złota, jakiej nie zdoła zgromadzić obok niej żaden inny naród. Dzisiaj młodzież 19,980 ciu szkół francuzkich robi swoje oszczędności, oszczędności te wynosiły już w roku 1886 t. j. przed 11-tu laty poważną kwotę 11,934,268 franków, nadto wywiązała się epidemiczna, jak widać ze sprawozdań, emulacya jednostek i emulacya szkół między sobą. Każda szkoła chlubi się wysokością wkładów swoich wychowańców, każdy dzieciak szuka chwały w świadectwie, jakie mu wystawia jego książeczka oszczędności. No i maluczko, a ujrzymy może jak się będą w tym kraju ludzie zaklinać na świętą ideę oszczędności i stawiać jej u siebie ołtarze. Tak wiele mieli już oni przecie różnych ołtarzy, różnymi czasy, że nie powinien ten jeden jeszcze dziwić nikogo, zwłaszcza że nowością nie grzeszy on bynajmniej.

Tyle o Francyi, o jej bogactwie i dążeniach jej dzieci, a teraz słów kilka jeszcze co do onych westchnień pobożnych tutejszego feljetonisty, i jego tęschliwych rozglądań się, azali i nasze oczy nie ujrzą na ziemi własnej tego zbawczego kierunku — azali i my nie zabierzemy się do sportu złotego, tak jak się zabieramy do tylu innych sportów i wynikających z nich rekordów.

A zatem jak ów niekoniecznie godzien naśladowania duchowny, który przemawiał do swoich parafian: „*Nie patrzcie na to co ja robię, ale słuchajcie tego co mówię,*" mamy i my zacząć apostołować wśród własnych dzieci ewangelią oszczędności. Bardzo dobrze, tylko zanim rozpoczniemy dzieło tego rodzaju pokojowego podboju, rozważmy pedagogiczną stronę założenia, boć tu niewiadomo o co chodzi, o samo zrobienie milionów przy pomocy dzieci, albo też o wychowanie w drodze specyalnej tresury pożądanego widać typu polskich Gould'ów i Vanderbildt'ów.

Gdyby przeciwko wprowadzeniu tej nowości to tylko powiedzieć się dało, że nie może przyjąć w niej udziału cały — bez żadnego wyjątku, ogół młodzieży szkolnej, już tego jednego względu wystarczyłoby zupełnie, aby ją nietylko za niepożądaną, ale wprost jako szkodliwą raz na zawsze odrzucić. Oczywistem jest przecież, że nie każde dziecko

w tym turnieju pieniężnym uczestniczyćby mogło; ztąd zaraz w szkole rozpoczęłoby się naruszenie podstawowej idei równości, a nadto kultura pychy możniejszych i deptanie po uboższych. I wobec czego owa wyższość, miły Boże? wobec pieniądza — w czem emulacya między sobą tych młodych latorośli? W gromadzeniu grosza. Okropne—potworne—pogańskie prawdziwie! A to niechajby lepiej wszystkie szkoły odrazu zamknięte zostały, jak żeby w nich praktykować miano podobne herezye pedagogiczne, i wytwarzać już w tym wieku przewagę bogactwa i nieodłączne odeń służalstwo nędzy.

Pomimo, że sam ten jeden wzgląd zamyka niejako dyskusyę nad kwestyą, przejdziemy jednakże do jej szczegółów.

Pierwszym punktem, który się tutaj niejako rzuca do oczu, jest samo rozważenie, z jakiego rodzaju zasobami tych kieszeni dziecinnych moglibyśmy mieć do czynienia. A nie idzie nam o żadne cyfry drobiazgowe, ale o zdefinijowanie, czy to mają być fundusze znaczniejsze, to jest takie, od których jest coś do odłożenia na bok, czy też rzecz szłaby o drobne kwoty, przeznaczane przez rodziców z dnia na dzień na użytek doraźny nb. na użytek koniecznej potrzeby. O kwotach bezwzględnie wysokich, zawsze rozumie się w zastosowaniu do potrzeb dziecka, mówić tu oczywiście nie mamy zamiaru, bo tych przewidujący rodzice do szafunku niedojrzałej młodości pozostawiać nie mogą, chyba, że to będą przewodnicy, z którymi nietylko o psychologii dziecka, o jego pokusach i upadku, ale nawet o zasadniczych a najbardziej ustalonych pewnikach pedagogicznych trzech słów rozsądnych nie ma do pomówienia. Takie tedy warunki, w których dziecko rozporządza środkami większymi, wykluczamy stanowczo.

Weźmy teraz dziecko pochodzące z naszej rodziny średnio zamożnej i powiedzmy, co ono mieć może właściwie do oszczędzenia na miesięcznej pensyjce swojej, albo na tych kopiejkach, które do swego rozporządzenia od rodziców dostaje codziennie. Wogóle wydatki takiego dziecka dadzą się podzielić na dwie części — na te, które służą do zaspokojenia jego potrzeb, i na inne, przy pomocy których zdobywa ono sobie jakąś, zastosowaną do wieku i rozwoju umysłowego, przyjemność. Ktoby chciał wprowadzić tutaj trzecią, jakąkolwiek pozycyę, ten nieuchronnie tamte obie, albo jedną z nich uszczuplićby musiał. One w gruncie rzeczy, u nas specyalnie, bywały i dotąd uszczuplane, jeśli nie rujnowane nawet zupełnie, ale praktykowało się do tej pory naruszenie równowagi w dziecinnym budżecie dzięki odmiennym zupełnie wpływom i popędom. Mamy tu na myśli ów poryw serca, stanowiący cechę charakterystyczną i podścielisko niejako moralnego ustroju dziecka polskiego—popęd, który ono odziedziczyło wraz z krwią ojca, którą wysysało z mlekiem matki — ów popęd, który mu następnie bruździ w życiu niepomiernie, stawszy się do pewnego stopnia drugą naturą, ku szyderstwu i urągowisku nawet przemyślniejszych i bardziej przewidujących członków wielkiej europejskiej rodziny.

Idzie tedy o to, czy nam ten popęd uczucia tak nagannym się już dzisiaj wydawać zaczyna, że wolimy od niego nawet deprawacyę najczystszą, nawet zżydzenie zupełne — czy też mamy pozostawić ile można człowieka dawnego prawu rozwoju naturalnego, które odrębności jego ustroju i jego rasy stanowią. O praktyczność, o zwycięztwo egoizmu nad popędami serca nie lękajmy się. Toż pierwsze i tak przemogą wszystko w życiu. Ale nam idzie widać, żeby się to stało rychlej, żebyśmy szlachetniejszych drgnięć tej struny, nawet w duszy dziecka już nie oglądali, więc stajemy do tego aktu skruchy nowoczesnej, i wołamy: „Oto są grzechy naszego żywota i oto środki, jakimi zalecają nam dzisiaj tych win ciężkich odkupienie, pedagogowie nasi!”

O takim stopniu równowagi u dziecka, któryby mu pozwolił rozdzielić dochody swoje maleńkie na kilka działów, mianowicie: na dział potrzeb, przyjemności, uczynków miłosierdzia i na ową nakoniec tak pożądaną rubrykę oszczędności, nie będziemy mówić także, raz dla tego, że jest to bezwarunkowo niemożebne do osiągnięcia w wieku dziecinnym, a potem, że gdyby się nawet taki wczesny rozwój i taką przedwczesną metodę w życie dziecka wprowadzić udało, byłyby one, zdaniem każdego, kto pojmuje prawa kształcenia się stopniowego charakteru dziecka, rzeczą najzupełniej niepożądaną. O tworzeniu karzełków lepiej lub gorzej parodyjących dojrzałość ludzką, niema co rozprawiać, bo takie założenie żadnej poważnej krytyki nie wytrzymuje. Tu iść może tylko o danie jednemu pierwiastkowi pierwszeństwa przed drugim — tu może być tylko mowa o zmianie zasadniczej kierunku—nigdy o harmonii i równowadze, bo te nie stanowią atrybutów dziecinnego wieku. Wszelkie też kojarzenie zasadniczych sprzeczności ze sobą jest tutaj dowodem nieszczerości, albo nieuctwa. Juześmy przecież mieli próbki w pismach naszych tych zachcianek — juześmy się naczytali dosyć w pewnych korespondencyach z Paryża, o mądrych Marcinkach, którym miało się niby wszczepiać od dzieciństwa wielką ideę jakąś, i zaciekłe zarazem na realizowanie jej gromadzenie środków pieniężnych. Znamy się na takich ideach! Kto takie absurda opowiadać się ośmiela, ten najwyraźniej ma takie same pojęcie o ideach i ideałach wogóle, jak o sposobach wcielania ich w życie—jak wreszcie o możliwości jednoczesnego wszczepiania w duszę dziecka potrzeby wielkiej myśli przewodniej, i podszycia jej z miejsca żydowską czcią dla grosza. Wiemy już wszyscy, wiemy dzisiaj, zkąd pomysły takie, i jaka czystość źródła, z którego insynuacye podobne u nas wypływają. Znamy i te ideały, i te wzloty, i tę obywatelską gotowość w narzucaniu społeczności rad i wskazówek, o które ta społeczność jako żywo nigdy nie prosiła u tych sfer, i nigdy prosić nie będzie. Niechaj wszyscy twórcy wszelakich nowoczesnych Marcinków, zachowają swoją pedagogię dla siebie — ogół nasz z pewnością na innych drogach starać się będzie o, istotnie konieczny dzisiaj, wcześniejszy rozwój, rychlejszą dojrzałość i inicyatywę swojego dziecka. Ale nie tak znowu wstrętnemi stały się temu ogółowi jego indywidualne odrębności, aby miał je w duchu najprzeciwniejszym karykaturować w zawiązku samym na własnych dzieciach.

A. S.

MARYA RODZIEWICZÓWNA.

KĄDZIEL.

POWIEŚĆ.

(Dalszy ciąg).

— Z amorami! — powtórzyła szyderczo Stasia. — Do tego nabrałam wstrętu na całe życie, nie wychodząc z roli spektatorki! Brr!—wzdrygnęła się.

— I to gadanie bez sensu! Życie bez uczucia jest anomalią. Jeśliś zdrowa i silna, to i z tem dojdziesz do równowagi!

Była Stasia bardzo zmieniona, bo nie podniosła kwestyi, nie bryznęła cynizmem. Zwróciła rozmowę.

— Ten zielnik, to skarb. Tam są odkrycia i wynalazki, a zbiór bardzo bogaty. Dużom się z niego nauczyła.

— Była też lekarką nieboszczka, chociaż nie miała patentu. Miała powołanie i wielkie serce! — odparła pani Taida.

Ozierska weszła, zdziwiona tak długą rozmową, wrócił też Włodzio z kwitem, i przerwali zwierzenia Stasi.

Nazajutrz już o dwunastej przyszła pierwsza kandydatka na posadę do Rudy. Była to bardzo elegancka dama, w kapeluszu z piórami, upudrowana, ufryzowana, i wdzięcznie uśmiechnięta.

— Przychodzę wskutek ogłoszenia w „Kuryerze.” Nieszczęśliwe okoliczności zmuszają mnie do poszukiwania pracy.

Na panią Taidę uderzyły ognie, ale się nieco pohamowała.

— Czy pani zajmowała się gospodarstwem wiejskiem? — spytała sucho.

— Dotąd nie potrzebowałam pracować na siebie Mój mąż miał dobrą posadę na kolei. Po jego śmierci miałam magazyn mód, ale interesa źle poszły, jak zwykle kobiecie samotnej, bez męzkiej opieki!

Westchnęła i dodała:

— Przeczytawszy ogłoszenie pomyślałam, że wyjazd na wieś poprawi mi zdrowie, i uspokoi nerwy, zerwane ciężkiemi przejściami.

— A pomyślała pani, czy spełni swe obowiązki? Czy pani się zna na hodowli drobiu i trzody — na ogrodnictwie i mleczywie.

— Jakto, ja mam być szafarką i klucznicą! — oburzyła się dama. — Ogłoszone było, że mam zarządzać i wyręczać panią domu.

— Więc pani myśli zarządzać, nie mając pojęcia o obowiązkach i robocie. Mnie wyręczać, uważając pracę za nieszczęśliwy dopust. Ja zaś uważam ją za wielkie szczęście. Różnimy się tedy w kardynalnej kwestyi. Potrzebuję pomocnicy, a nie nerwowej ofiary.

Dama się bardzo obraziła, i powstała majestatycznie.

— W takim razie nie trzeba dawać kłamliwych ogłoszeń i trudzić ludzi, którzy wyszli z wieku morałów! — rzekła drżącym głosem i wyszła.

Pani Taida, oburzona, poszła do jadalni, gdzie Ozierska krzątała się z kucharką i opowiedziała pierwszą próbę.

— Cierpliwości. Trafisz na dobrą. To dopiero początek. O! znowu dzwonek. Otwórzno, Stasiu, bo Kasia wyszła do pralni.

Stasia siedziała u okna, z głową podpartą rękami, zatopiona w czytaniu. Podniosła się automatycznie i wyszła do przedpokoju. Po chwili wróciła.

— Któż to? — spytała matka.

— A znowu *coś* do pani Skarszewskiej — odparła pogardliwie.

— Jakże wygląda?

— Anim spojrzała. Nie warto.

— Dlaczego? — zagadnęła pani Taida.

— Bo to będzie korowód wszelkich pasożytów, kalek i niedołęgów. Alboż to ludzie! Osoby w średnim wieku szuka pani. Cóż warta osoba w średnim wieku, która niema fachu i stanowiska, która nic nie zdobyła, nic nie wywalczyła do tej pory! Plewy!

— No, no! — ujęła się Ozierska. O chleb jest trudno, walka o byt ciężka. Ty zawsze jesteś krańcowa.

Pani Taida wyszła do interesantki, a Stasia odparła:

— Chleb mieć będzie ta, która wie czego chce i do czego dąży. Taka nie szuka ogłoszeń w „Kuryerach,” ale ma już stanowisko, i walki o byt się nie boi. Pani Skarszewska szuka drugiej siebie, i mama jest tak naiwna, że wierzy, że taką znajdzie między Warszawiankami. Toć one wyobrażają sobie, że na wsi nic się nie robi, tylko spaceruje, wącha świeże powietrze i zjada kurczęta.

Zatrzasnęły się drzwi przedpokoju i jednocześnie weszła pani Taida.

— Wyobraźcie sobie, że ta mi powiedziała najspokojniej, że nie może przyjąć posady — u wdowy! Jakto? niema mężczyzny w domu. Być bez opieki silnego ramienia, narażoną na grubijaństwo służby! Ona się boi!

— Hihihi! — zachichotała szyderczo Stasia. — Ona się boi! Biedactwo! Das ewig weibliche!

Pani Taida była zdesperowana.

— Cofnę ogłoszenie! — rzekła. — Bo doprawdy nie wytrzymam. Jeszcze coś podobnego, a nagadam impertynencyi. Znowu dzwonią.

Stasia poszła otworzyć, ale był to Włodzio.

— Dzień dobry, kolego! — powitał żartobliwie. — Wiecie, miałem dziś pacyentkę, a jaką ładną. Zadowolona była z porady, i będę ją miał w kuracyi stałej.

— Panna czy wdowa? — ironicznie spytała Stasia.

— Otóż właśnie, że mężatka.

— I to bywa! — odparła. — Winszuję.

— A tu co słychać? Mama zdrowa, w dobrym humorze?

— W najgorszym. Nie radzę panu chwalić się pacyentką, bo do żartów nie usposobiona. Odbywa się przegląd towarzyszek.

— Szła tu przedemną jakaś chuda i żółta, i czytała tablicę w sieni. Jeśli pani o swego Kazia zazdrosna, to o tę może pani być spokojna.

— Gust męzki jest tak fantazyjny! — odcięła. — Jeśli pan kiedyś szalał za tą żydówką, co robiła papie papierosy, to niech żadna nadziei nie traci, i niech każda o swego wybranego drży!

— Ej, panno Stasiu, to niemiłosiernie, takie rzeczy pamiętać! Dzyń — to pewnie ta żółta! Pójdę z paniami się przywitam, a potem siadam za portyerą i będę na przedstawieniu gratis.

Stasia otworzyła drzwi. Na progu stała osoba istotnie w średnich latach, chuda i jakby wystraszona.

— Czy tu mieszka pani Ozierska? — spytała.

— Tutaj.

— Bo to wyczytałam w „Kuryerze..."

— Proszę panią do salonu! — przerwała Stasia.

Ale interesantka musiała się wynurzyć.

— Od dawna marzę o wyjeździe na wieś, do ciszy, i spokoju. W mieście nie można uniknąć zgorszenia, pokus; ciągle się jest narażonym na grzeszne myśli i uczucia. Przed występkiem skryć można oczy tylko w świątyni

Spuszczone miała oczy, więc nie widziała wyrazu twarzy Stasi — za portyerą odzywało się podejrzane sapanie, to Włodzio się dusił ze śmiechu. Szczęściem weszła pani Taida, i Stasia uciekła.

— Pani poszukuje posady? — zagaiła pani Skarszewska.

— Tak pani. Modlitwą i praca jest mojem szczęściem.

— Pani zamężna?

— O! nie. Żyłam z mamą dotychczas w Siedleckiem. Ojciec zostawił nam folwarczek. Ale mama była słabego zdrowia—przeniosłyśmy się do Siedlec. Dzierżawca nas doprowadził do nędzy, a wreszcie i folwarczek trzeba było sprzedać. Kapitalik poszedł na doktorów i aptekę, i mamusia zmarła temu dwa lata. Dostałam posadę tutaj przez znajomą hrabinę, w szpitaliku, ale zawsze marzyłam o wyjeździe na wieś, i gdym przeczytała ogłoszenie, wnet pomyślałam, że to może palec Boży, bo na tę intencyę suszę wszystkie Wtorki—dzień, w którym opuściłyśmy naszą Wólkę.

— Więc pani się zna na wiejskiem gospodarstwie.

— Przecie mieliśmy Wólkę, a ja zawsze wyręczałam mamusię. O, znam wieś i kocham jej ciszę, spokój i patryarchalne obyczaje.

Włodzio za portyerą pomyślał, że cisza i spokój rzadko były widziane w Rudzie przy mustrze fornali, pastuchów i czeladzi, i że patryarchowie mieli pod względem obyczajów pojęcia nie zawsze zgodne z etyką nowożytną, ale pani Taidzie podobały się aspiracye kandydatki do wiejskiego życia; i zresztą poprzednie były jeszcze gorsze. Przystąpiła tedy do szczegółów.

(Dalszy ciąg nastąpi).

TEATR

Almanzor — tragedya w 5-ciu aktach przez Kaz. Glińskiego.

Tragedya i to tragedya oryginalna jest tak wielką na scenie naszej osobliwością, że nie dziw, iż z pewnego rodzaju niepokojem oczekiwała publiczność premiery „Almanzora.” Nieprzyjazne warunki nie pozwalały rozwijać się u nas w ostatnich latach poważniejszym rodzajom sztuki dramatycznej. Przed niedawnym dopiero czasem ujrzeliśmy „Turniej” Kozłowskiego. Była to zapowiedź pewnego zwrotu w panujących stosunkach teatralnych. Wystawione zostało nadto staraniem obecnej reżyseryi kilka nowych komedyi, i poczęła krążyć wieść, że przygotowuje się „Almanzor” Glińskiego.

Za sprawdzenie się tej wieści miłośnicy sztuki winni wdzięczność reżyseryi teatru. Objawili ją też ofiarowaniem wieńca p. Ładnowskiemu.

Istotnie, teatr bez dramatu i tragedyi, czyż godzi się nazywać przybytkiem sztuki?

Jakkolwiekbądź zapatrywać by się chciano na znaczenie i zadanie teatru, dla nikogo chyba wątpliwości nie ulega, że teatr suggestyonuje publiczność, że zostawia na duszach ślady głębsze, niżby się z pozoru zdawać mogło, głębsze nieraz zapewne, niż przeczytana książka. Tu działa suggestya słowa, gestu, mimiki, tu jak w każdym tłumie wytwarza się pewna atmosfera moralna, z pod której wpływu trudno się wyłamać jednostce. A czyż nie lepiej aby ta gromada widzów odetchnęła surową, ale czystą, podniosłą atmosferą tragedyi, lub dramatu, niżeli zatęchłymi wyziewy tłustej farsy, lub niedorzecznej operetki.

Mógłby nam ktoś zarzucić, że tragedya ukazując obrazy zbrodni, morderstw, występków może także oddziaływać ujemnie. Bezwątpienia w niektórych poszczególnych wypadkach, gdy chodzi o istoty zwyrodniałe, obdarzone skłonnościami zbrodniczemi, zgadzamy się, że widok morderstwa spełnionego na scenie pobudzić może ukryte w nich instynkty.

Tym jednak o pobudkę tego rodzaju łatwiej jeszcze w życiu, niż na scenie. Zdrowi znajdą tu zbrodnie i czyny szlachetne, a przedewszystkiem ujrzą życie traktowane poważnie, na seryo. Tu nie wystąpi, ono przed nimi w czapce błazeńskiej, w pstrej szacie, z obliczem wykrzywionem konwulsyjnym śmiechem; tu nie szydzi się z ideału, nie zaprzecza go się cynicznie.

Panował u nas przez pewien czas niepodzielnie prawie *genre* operetki i farsy. Młodzież wychowywała się na nim. Czy pomiędzy wielu innymi czynnikami nie zawdzięczamy i temu tego brania „na żart” życia i najważniejszych spraw jego, które słusznie zarzucają współczesnemu ogółowi naszemu?

Społeczeństwo lubujące się w tragedyi i dramacie, to społeczeństwo złożone z ludzi przedewszystkiem silnych, zdrowych i zdolnych do czynu.

Czy publiczność nasza przyzwyczajona do *lżejszej muzy* dostroić się na ton tragedyi potrafi? — zobaczymy. Tymczasem zajmijmy się „Almanzorem.”

Nie żałowano kosztów, by nową sztukę w możliwie najświetniejszej ukazać szacie. Dekoracye niepospolicie piękne, kostyumy bogate i rzeczywiście stylowe, przykładają się do wytworzenia artystycznej harmonii. Co do obsady sztuki — nie posiada niestety dzisiaj scena nasza tych postaci tragicznych, które od pierwszego ukazania się wstrząsały nerwami publiczności. Artyści młodzi nie mogli wyrobić się w tym kierunku, nie mieli przed sobą pola. Z obecnego personelu teatralnego wybrano najlepsze siły — nie jest to jednak to, czego autor każdy pragnąć musi dla swego dzieła.

Poeta prowadzi nas do Hiszpanii, i zmiótłszy z niej pył ośmiu wieków, ukazuje nam ją w stuleciu jedenastem, rozdartą między dwa ludy, różne pochodzeniem i wiarą.

Po co nas tam wiedzie? Bo, jak powiada w prologu, powstał przed nim duch Almanzora, i błagał o dośpiewanie tego, co historya o losach jego nie domówiła. „Odwracałem lica—przed czytelnikiem spowiada się poeta—od mogił obcych do grobów mi bliższych,” lecz duch uparty zjawiał się wciąż „jak burz pustyni wielka błyskawica.”

W akcie pierwszym ukazuje nam autor nić intrygi, która wić się będzie przez całą sztukę, osnuwając stopniowo bohatera i wiodąc go do tragicznego końca. Almanzor, król Maurów ma przyrodniego brata Nuradyna, który zawiści mu sławy i korony, i kochankę Aminę zazdrosną i ambitną. Almanzor obraził ją, bo kierując się względami politycznymi, Hiszpankę, hr. Kastylii, Awę. pojąć zamierza za żonę. Aminie daje miłość, tamtej koronę. Ale Aminie nie podoba się podział taki. Więc z Nuradynem, który pała ku niej niepohamowaną namiętnością, postanawiają pozbawić tronu Almanzora. A chwila jest dobrze obraną, bo i lud nie rad przymierzu z giaurami, burzy się, nie rozumiejąc, że takich ugód nie sentyment, lecz dobrze zrozumiany interes bywa motorem, że Almanzor po to niesie pokój niewiernym, by łatwiej zgnieść ich następnie.

„Snem ukołysane
Niech zdrzemną ludy i odpoczną trony —
Usnę snem twardym, lecz gdy ze snu wstanę
Już katolickie nie zagrzmią mi dzwony.
Może się zerwą jak wichr, co szaleje
Lecz to ostatni będzie pokrzyk trwożny;
Miecz poszlę naprzód, w ślad za Pireneje
Wejdzie jak gwiazda nasz księżyc dwurożny.”

Nuradyn roznieca sztucznie w ludzie niechęć przeciw królowi, trucizną pozbywa się przeciwników, rozumie jednak że na wybuch zawcześnie. Potęga Almanzora, urok otaczający jego imię, nie łatwe są do zwalczenia. A Amina miłość swą obiecuje dopiero wtedy, gdy na głowie Nuradyna ujrzy królewską koronę.

On teraz przyczaić się musi, udawać życzliwość i pokorę, i czekać. O sposobność nie trudno mu będzie, przecież wodzem jest naczelnym wojsk Almanzora, i razem z nim wybiera się do Burgosu, gdzie na dworze hr. Awy odbyć się ma akt pojednania króla Maurów z chrześcijańskimi władcami Iberyjskiego półwyspu.

Akt drugi przenosi nas do Burgosu. Jesteśmy widzami zbiegowiska ludu, któremu herold rządowy oznajmia o spodziewanem przybyciu Almanzora, zalecając uprzejme przyjęcie odwiecznych wrogów. Z niewypowiedzianym humorem i werwą nakreślił autor te sceny zbiorowe. Znakomicie też wykonane zostały na pierwszem przedstawieniu. Przemowa herolda, a zwłaszcza niektóre ustępy jej pobudziły publiczność do szczerego śmiechu.

„Jutro do naszej stolicy potencya
Zjeżdża, co nieraz dała nam po żebrze,
Przed którą wojska nasze niezwalczone
Niejednokrotnie drżały jakby w febrze,
A zęby nasze dzwoniły staccato.
Dziś, za nieznaczną haraczu opłatą,
Będziem mieć pokój na wieki. Więc za to
Musim jej do nóg ponieść wdzięczne serce —
Krużganki w wieńce i okna w kobierce
Ozdobić! Ludu niech napłynie chmura
I co sił tylko starczy, wrzeszczeć: hura!
...Przy bram narożnikach
Gdzie można płachty powieszać na tykach,
Długie, by końcem dotykały ziemi
Jeżeli wiatru nie będzie — chwiać niemi!”

Przemowę swą kończy herold wyrazami: „Pamiętać—bo kije!”

Na tle różnobarwnego tłumu wyróżnia się Kryspin, przyjaciel niby i doradca młodego następcy kastylijskiego tronu, hr. Sancha. Ów Kryspin, będący odległem przypomnieniem szekspirowskiego Falstafa, na wszelkiego rodzaju pokuszenia wodzi nieopatrznego młodzika, u którego pod maską lekkomyślności znać jednak złote serce, a nawet i myśli poważniejszej doszukaćby się można.

Ten Sancho to typ polskiego lekkomyślnika lepszego gatunku. Wszystkie bo postacie tego kastylijskiego dworu zdradzają pochodzenie autora Zacząwszy od owej hrabiny, która przypomina znany u nas niegdyś typ kobiety *zapoznanej*, sentymentalnej, nieszczęśliwej w małżeństwie, poznającej miłość dopiero w latach późniejszych... skończywszy na ochmistrzyni dworu, starej Inez. Ta ostatnia to okaz z dawnego naszego fraucymeru, i prawie zadziwia nas jej cudzoziemskie imię. Dlaczego Inez, kiedy powinnaby to być jakaś panna Petronela, Agata lub Balbina.

Nie myślimy bynajmniej czynić z tego zarzutu autorowi. Nawiasowo tylko wtrąciliśmy nasuwającą nam się pod pióro uwagę.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Emil Zola.

Z rozmysłem zupełnym pominęliśmy w „Tygodniku“ sprawę jednego z najsensacyjniejszych procesów, jaki się w ubiegłym miesiącu rozegrał przed trybunałami francuzkimi. Pominęliśmy, bo pomimo zapadłego wyroku, z którym harmonizuje się dzisiaj cała prawie opinja Francyi, wolno jest przypuszczać, że ostatnie słowo w tej zawiłej sprawie należy do przyszłości. Rzecz miała się tak:

Sądzono tam przed pięciu laty A. Dreyfusa, oficera generalnego sztabu o zdradę kraju. Osądzono, odjęto stopień wojskowy, dobre imię i zhańbionego wysłano do kolonii francuzkich na odsiedzenie kary w warunkach można powiedzieć najuciążliwszych. Słusznie czy niesłusznie, decydować trudno. Dreyfus należy do rodziny możnej pochodzenia semickiego, a o tem wzmiankujemy ze względu, że czuć w opinii prąd nienawiści rasowej bardzo silny, który w dzisiejszych powikłaniach niemałego jest znaczenia. Znaleźli się jednakże ludzie, którzy robili zarzuty rządowi i sądom wojennym stronnego traktowania sprawy, zażądano rewizyi procesu, rząd odmówił, sprawa rozdrażniała się coraz bardziej, aż wreszcie opinię malkontentów streścił Zola, i w formie bardzo dosadnego wyzwania rzucił sferom rządzącym, ogłaszając odezwę swoją w jednem z codziennych pism paryzkich. Ztąd proces trwający blizko trzy tygodnie przy wielkiem roznamiętnieniu całej Francyi, a ostatecznym jego wynikiem: skazanie przez sąd przysięgłych Zoli na rok więzienia i koszta sądowe za obrazę rządu i armii.

Tyle co do sprawy samej. Usłyszymy jeszcze o niej z pewnością, więc pozostawiając na stronie wiele nader ciekawych epizodów, illustrujących życie wewnętrzne dzisiejszej Francyi, wspomnimy pobieżnie o roli dziennikarstwa w toku procesu samego zarówno jak po osądzeniu sprawy.

Opinje dziennikarstwa były oczywiście podzielone. Jedni obstawali za Zolą, wysławiając jego bezinteresowność i odwagę cywilną, inni nie szczędzili gromów na głowę zuchwałego manifestatora, ale jako wielce znamienne uważać należy, że w miarę jak zmniejszały się szanse tryumfu dla obwinionego, ci pierwsi odstępowali go kolejno i przechodzili do szeregów większości. Ostatecznie w dniu zapadnięcia wyroku był ten człowiek najdoskonalej odosobnionym i opuszczonym przez wszystkich, a dzisiaj nawet, gdy idzie o założenie skargi apelacyjnej od zapadłego dekretu, nie ma Francya tak odważnego obrońcy, któryby wziął na siebie sprawę, i prawdopodobnie skończy się na tem, że Zola będzie mieć dodanego obrońcę z urzędu.

Jakim może być dzisiaj stan wewnętrzny tego posępnego ducha, trudno doprawdy odgadnąć—po oszczerstwach większej części dziennikarstwa, po milczeniu małodusznem niedawnych obrońców, po tylu upokorzeniach, których doświadczył w sali sądowej, po obelgach, wyciach i oplwaniach, których tylokrotnie bywał ofiarą poza gmachem trybunału. Można

powiedzieć, że żółć rozlewał on piórem zawsze, ale jakiejże się tam goryczy niezmiernej nagromadzić musiało w sercu tego człowieka tak namiętnego w sądzie, a tak pysznego niesłychanie, jak o tem niejednokrotnie w toku procesu samego przekonać się było można.

Stało się Bożym rozkazem — bił żelazem, legł żelazem — powie dzisiaj niejeden z nieubłaganych sędziów pokonanego w walce stronniczej. Bo pokonanym jest faktycznie Zola, i dzisiaj taki naprzykład „Figaro Paryzki," który sprawę jego w początku akcyi popierał gorliwie, pierwszy występuje z krytyką wychodzącego w tej chwili „Paryża," opierając się na charakterystyce wszystkich poprzednich prac tego najpopularniejszego ze współczesnych pisarzy. Ten „Paryż" zapowiadany był oddawna jako ostatnia część Trylogii, której dwie pierwsze stanowiły „Lourdes" i „Rzym." Zarzuty, które obejmuje charakterystyka nie są nowe; mnóstwo krytyków europejskich pierwszorzędnych stawiało je już Zoli różnymi czasy, ale we Francyi są one dosyć nowe, i z pewnością opinja powszechna tego narodu, uganiająca się zawsze za tem, co sensacyjne, oswojona z nimi nie jest.

Jednym tedy z głównych zarzutów postawionych przez „Figaro" jest, że Zola nigdy nie malował w powieściach swoich wiernie i bezstronnie ducha narodu francuzkiego. Przyjąwszy jako metodę zdejmowanie fotograficznych odbić wyłącznie z ujemnej strony życia, zaniedbywał zupełnie charakterystykę objawów dodatnich, a ztąd urabiało się zwolna, poza granicami mianowicie Francyi, to przypuszczenie, że oprócz szumowin, mętów i ścieków nic się w tym kraju więcej do opisu nie nadaje. Tak oszpeconymi wyszły z pod pióra jego wszystkie stany. W takim świetle przedstawił on te reszty warstw uprzywilejowanych, które wsiąknęły w II Cesarstwo i III Rzeczpospolitą,tak przedstawił mieszczaństwo mniejsze i burżuazyę właściwą, i ludność rolną i finanse, i intelligencyę — wszystko jednem słowem, wszystko odsądził, osromocił i postawił pod pręgierzem.

Co do nas, którzyśmy w swoim czasie nie zaprzeczając bynajmniej talentu tego najjaskrawiej realistycznego romansopisarza, starali się w tym właśnie duchu zcharakteryzować działalność jego — co do nas, przyznajemy, że nam wyjątkowe położenie tego niedawno jeszcze tak potężnego człowieka, zamyka dzisiaj usta. Nie jest to godzina właściwa, aby dalecy i obcy dorzucali swoje potępienia do tego stosu oskarżeń, którymi go przygnietli najbliżsi, i dla tego, ograniczymy się do niektórych najcharakterystyczniejszych miejsc wyjętych z „Paryża," podanych w recenzyi wspomnianego francuzkiego dziennika.

Każdego z czytelników dwóch pierwszych części Trylogii uderzać musiała niewątpliwie postać księdza Piotra Fromont. W Lourdes wychodzi ona bladziej nieco, za to w „Rzymie" zyskuje na pełności. i bez względu na odcienia w przekonaniach religijnych i społecznych, niepodobna jest nie przyznać tej postaci wysoce szlachetnych pierwiastków — niepodobna jest nie uznać, że takimi jak on był musieli być wszyscy wielcy asceci, wszyscy poszukujący ideału i dążący do sprowadzenia na padół ziemski Królestwa Bożego. Co do jego nieporozumień z hierarchią, to inna zupełnie sprawa, ale faktem jest, że dla czytelnika wychodzi ksiądz Piotr nieledwie że z nimbem świętości, i że niejen z pokłóconych na dobre z Emilem Zolą, z powodu tej wysoce szlachetnej postaci zapomniał o wielu swoich z tym autorem nieporozumieniach.

Szczególnie w istocie pokierował w „Paryżu" losami księdza Piotra autor Trylogii — jak opowiada „Figaro." Asceta, marzyciel, fanatyk żeni się, żeni się z narzeczoną brata rodzonego. A więc i ten ściągnięty za innymi z wyżyn swoich. Ta kobieta, która go sprowadziła z drogi, to także fanatyczka, ale wystawcież sobie czytelnicy—fanatyczka sportu kołowego. To się już nazywa chyba deptaniem po naturze ludzkiej, i tylko wysokie znaczenie, jakie przywiązuje Zola do tego rodzaju ćwiczeń, rozgrzesza go w części z zarzutu drapieżności, jakiby przeciw niemu niejeden trzeźwy człowiek mógł wystosować. Jak pojmuje Zola missyę uspołeczniającą, którą dźwiga na sobie bicykl, osądzić można z tego krótkiego wywodu:

„Wsadźcie na taki dwukołowiec młodą dziewczynę i puśćcie ją na szeroki gościniec. Musi ona dobrze otworzyć oczy, aby dojrzeć każdego kamienia, który jej zagraża, musi mieć całą przytomność umysłu, aby nawrócić w porę. Ta, która się nauczy jedno i drugie czynić w właściwej chwili, będzie z pewnością umiała omijać przeszkody i przewidywać w życiu—to będzie prawdziwa niewieścia siła intellektualna i trwała."

Co tu o tem powiedzieć? Juścić że wnioskowanie należy do śmiałych, wątpliwości nie podlega, ale jeszcze nas sama apoteoza kołowca mniej razi, aniżeli połączenie takiej intelligencyi kobiecej z losami takiego człowieka, jakim był ksiądz Piotr Fromont. To się nazywa strąceniem z Kalwaryi na piasek cyrkowy.

Są i inne jeszcze ekscentryczności niemniej rażące od tamtych, i oto jeszcze jedna z nich, którą streszczamy tutaj pobieżnie.

Wiadomo, że u Zoli stan zdrowia duchowego normalny, od patologicznego różni się mało, albo wcale. Wszelka aberracya umysłu, wszelkie zwyrodnienie uczuć traktuje on jako nieledwie że usprawiedliwione, ale tutaj istotnie przeszedł granicę dozwoloną, i swoją wyraźną predylekcyą zharmonizował się nieledwie z postacią, której poza szpitalem dla obłąkanych, pojąć niepodobna w społeczeństwie ludzkiem. Brat księdza Piotra, to uczony i marzyciel polityczny zarazem. Jest on z zawodu chemikiem, i jako specyalista w tej nauce rozmyśla nad uwolnieniem ludzkości raz na zawsze od klęski wojen. Dotąd dobrze, i nikt się z nim ani z Zolą kłócić o to nie będzie. Co do wyboru środka, znalazłoby się dość niedowiarków, bo ten chemik wynajduje substancyę bajecznie wybuchową, i robi z niej dar wszystkim bez wyjątku narodom świata. Aby ustały wojny muszą ludzie mieć taki środek zniszczenia, któryby samą ideę rozpraw orężnych czynił absurdem. To już jest trochę gorsze, bo się fantazyi pozwolił autor unieść zbyt daleko, ale kwiat prawdziwy stanowi dopiero sposób, w jaki on dobrodziejstwo swoje światu oznajmić zamierza. Jeśli gołosłownie powie o wynalazku, uznają go za jednego z tysiąca marzycieli albo samochwałów, musi więc wystąpić tryumfalnie, z eksperymentem, a ponieważ jest przytem i patryotą, więc Francyi daje w swojem sercu pierwszeństwo. Ale jak? Ale co zburzyć? Trzeba wybrać coś takiego, co zasługuje na najwyższy stopień nienawiści, więc przechodzi koleją gmachy, budowle i pomniki. Łuk tryumfalny był pomnikiem zbrodniczej siły, ale są rzeczy gorsze od niego. Giełda wraz z giełdziarzami, zasługuje na to, aby jej wyrządzić ten zaszczyt, ale poczekajmy, bo i od giełdy może się znaleźć coś jeszcze występniejszego. Trybunał naprzykład wraz z sędziami, nikczemną postacią prokuratora, i tą zbrodniczą zgrają widzów, która szuka emocyi w salach sądowych, byłby z pewnością wybrany na doświadczenie przez wielkiego uczonego i filantropa, ale ostatecznie wynalazł on coś jeszcze nikczemniejszego, a tem czemś jest Bazylika Sacré-Coeur wraz z fanatycznym tłumem, któremu w murach swoich daje przytułek.

Niepodobna jest przecież w ramach powieści pomieszczać wszystkiego, co się wytwarza w mózgach zupełnie rozstrojonych; samo wyprowadzenie na jaw podobnych zboczeń dowodzi, że głębia przekonań autora albo sympatyzuje, albo przynajmniej w wysokim stopniu usprawiedliwia uczonego chemika.

Rzecz taka w czytaniu w szczególny sposób oddziaływa.

Wątpliwości nie podlega, że nawet tak kunsztowna technika pisarska, jaką posiada Zola, nie dopuszcza ukrycia przed czytelnikiem tego, co autor od siebie wkłada predylekcyi dla czynów i rozumowań 'bohaterów swoich. Czytelnik odczuwa to doskonale i daremnieby się chciał powieściopisarz ukryć w cień poza stworzoną przez siebie postacią. Jeśli autor chce przedstawić człowieka rozstrojonego nerwowo doszczętnie, to nie potrzebuje rezonerstwu jego nadawać ciągłości logicznej, bo faktem jest, że tej ciągłości i tej konsekwencyi tam być nie może. Jakim tedy sposobem można pod czyn zbrodniczy podkładać rusztowanie nauki, tłómaczyć ten czyn sofistyką wielce wprawdzie karkołomną, ale bądź co bądź nadającą szaleńcowi, któremu przedewszystkiem żądza krwi zalewa oczy, wszelkie pozory człowieka idei, działającego w imię zasady—źle pojętej, ale zasady.

Jak tylko dekoruje autor teoryjkę takiego naprzykład filantropa-chemika, jakimś hymnem dla nauki, jak tylko robi fanatykiem wiedzy indywiduum, któremu obłok czerwony ustawicznie wzrok przesłania, już tem samem wyrządza on dotkliwą krzywdę i nauce, która z szałem żadnym kojarzyć się nie dozwala i nie kojarzy nigdy, i idei dobra, i prawdy, która jutrzenki swobody po neronowskich hekatombach przewidywać przecież nie może. Nie należy wogóle zaludniać tak romansów psychopatami, jak to mają zwyczaj robić powieściopisarze szkoły realistycznej. Ten, o którym mówi z odrazą krytyka francuzka, szczególnie wydaje się antypatycznym, i dlatego, że jest tak kunsztownie umotywowanym, wywołuje on niechęci tych, którzy pragną zdrowia i siły żywotnej w narodzie na miejsce zwyrodnienia duchowego, które Zola z tak szczególnem

zamiłowaniem w jego śmiertelnych drganiach zwykł malować.

Może w innym czasie przeszłoby to autotowi „Assomoiru i Germinala” bez takich ze strony krytyki napaści, ale dziś nic mu już opinja darować nie chce. A tymczasem są tacy, którzy żywią głębokie przekonanie, iż ten właśnie krok, który go ogółowi tak ciężko naraził, jest właśnie najpiękniejszą kartą całej jego karyery publicznej.

Jak jest rzeczywiście, na to jedna tylko przyszłość dać może odpowiedź stanowczą.

Wyzyskuje dzisiaj krytyka tę stronę ujemną i doprawdy smutną będzie miał lekturę z tych sprawozdań krytycznych nieszczęśliwy autor Trylogii w murach swojej więziennej celi.

K.

Anatol Krzyżanowski.

W KOLOŃSKIEJ KATEDRZE.

WSPOMNIENIE.

(Ciąg dalszy).

Z pod popielatego „windhorsta” bowiem, wysuwała się cała masa włosów, złotawo-płowych, z pod obłoczka zaś białej, ledwo dojrzanej illuzyi, patrzała na niego para oczów głębokich, niezwykle wielkich, otoczonych czarnemi rzęsami, a jak toń morska zmiennych. Jasno-zielone, przybierały one niekiedy barwę roztopionego złota, lub jak fale Renu, odcień szafiru. Podniecone, rozgrzane, stawały się czarne nieledwie, a zawsze na dnie ich spoczywał jakiś marzycielski smutek, jakaś tęsknota nieokreślona, za czemś dalekiem czy nieznanem.

Ten odcień mistycyzmu, jakby zasłuchania się w tajniki własnej duszy, połączony z bardzo delikatnymi, matowo bladymi rysami, z kształtem ust drobnych, o barwie różowego koralu, nadawał jej typową powierzchowność dziecięcia północy. Czułeś w Słowiance tej córę starej arystokratycznej rasy.

Że była Polką, o tem wiedział towarzysz jej oddawna. Ognisty południowiec, był wprost przykutym, oczarowanym przez to złotowłose, poetyczne zjawisko. Ojczysta jego Prowancya posiadała moc kobiet pięknych; takiej jednak nie spotkał nigdzie. Pociągnęła go samym kontrastem; podbiła nie urodą już, lecz wszystkiemi właściwościami ducha, tym czarem poetycznym, a powściągliwym, który wytwornemu umysłowi mężczyzny wydawał się ostatnim wyrazem niewieściego uroku.

I teraz nie istniał dla niego krajobraz nadreński, w promieniach słońca skąpany, nie istniał *Der grosse Kurfürst* zbliżający się całą siłą pary. Czarne oczy mężczyzny, zatonęły w idealnych rysach kobiety.

— Czy pani nie żal opuszczać Wiesbadenu? — zapytał pochylając się ku niej.

Z pod ciemnej firanki rzęs, podniosły się ku niemu oczy jak topaz przejrzyste, a złotemi iskrami błyszczące.

— Żal mi, — przyznała szczerze. — Pobyt tu będzie należał do najmilszych mych wspomnień.

— Dziękuję.

Pani Zofia zarumieniła się lekko. Żywa fala krwi, przebiegająca niekiedy jej lica, stanowiła jeden z czarów natury jej, jak mimoza wrażliwej.

— Dziękuję — powtórzył. — Chcę wierzyć, iż we wspomnieniach pani i dla mnie znajdzie się miejsce. Zbyt rozkoszne prześniłem tu chwile, zbyt nowych a nieznanych doznałem wrażeń, aby tygodnie te z życia mego wykreślić się dały. Mogą one być niczem dla pani. Dla mnie wszakże, pozostaną zbudzeniem do nowych pojęć, złotą przędzą, której nić pragnąłbym w wieczność przeciągnąć.

Oczy jego błyszczały zapałem; w głosie serdeczna, szczera przebijała się nuta.

— Należy pan do narodu, który zbyt łatwo się zapala i... zbyt łatwo zapomina.

— O, proszę nie obmawiać Francyi. Nie mamy tylko kobiet takich, jasnowłosych, z mgły i poezyi, z promieni utkanych.

— *Hoch! Hoch! Es lebe! „Der grosse Kurfürst!“* — zabrzmiało znów w powietrzu. Fala ludzka zakołysała się i nowem zakipiała życiem. Parowiec z hucznymi dźwiękami *Wacht am Rhein*, przybijał do brzegu.

Uwolniło to panią Zofię od odpowiedzi. Zwróciła się żywo do córeczki:

— Ninon pójdzie z mamą, a Marcysia zostanie przy kufrach i z nimi wejdzie na statek.

Ale napróżno wyciągała rękę. Dziewczynka przyglądała się z uporem koronie, zdobiącej duży monogram na walizie.

— Ninon, chodź dziecko — powtórzyła.

Czarne brewki dziewczynki ściągnęły się z charakterystycznym uporem.

— Jania nie chce, żeby ją nazywać Ninon. Ten pan jest sam: Ninon. Tatuś mówi zawsze: Janka.

Nie dąsik dziecka, lecz słowa jego szkarłatem pokryły czoło matki.

— Przyjdziesz zaraz, lub zostaniesz tu z Marcysią — wyrzekła stanowczo.

Cherubinek podskoczył i chwytając dłoń jej, przylgnął do niej ustami, z jakimś wybuchem gwałtownym a namiętnym nieledwie.

Pani Zofia pochyliła się i ucałowała go nawzajem.

— Dlaczego dziecko jest niegrzeczne? — zapytała słodko.

— Och, bo ten czarny pan już przyszedł, i mama na Janię nawet nie patrzy.

Kobieta pocałunkiem zamknęła jej buzię.

— *Mon Dieu! est-elle jalouse?* — wyszeptała prostując się.

— *Jalouse?* — podjął wpatrzony w nią towarzysz. — Zazdrosną jest? Cóż dziwnego? Ja, René Delpit, wyznaję, iż gdybym miał prawo do tego, byłbym zazdrosnym o nią nawet, o to dziecko niewinne... A — dodał, widząc dumny błysk w oczach kobiety— rozgniewałem panią, przepraszam...

I zmieniając szept gorący w ton potoczny, konwencyonalny, dodał:

— Czas wsiadać, bo inaczej zabiorą nam najlepsze miejsca na pokładzie, a Ren, ztąd aż do Koblencyi, przedstawia najpyszniejsze widoki.

Zabrał torebkę przybraną monogramem z dużą koroną, i nie wychodząc już z roli grzecznego, lecz obojętnego towarzysza, poprowadził młodą kobietę na statek.

W kwadrans później *Der Grosse Kurfürst* roztrącał fale Renu, unosząc istną wieżę Babel narodowości i języków. Na jednym końcu parostatku grała muzyka wojskowa, na drugim, rozrzuceni grupami, umieścili się pasażerowie pierwszej klasy. Wśród nich, osobną tworzyli grupę: piękna, złotowłosa Polka i ognistooki Prowansalczyk. Dziewczynka z nieodstępną swą Marcysią, bawiła się na uboczu. Być może, iż drażnił ją ów „czarny pan,” może przy dziecinnej swej francuczczyźnie nie rozumiała wykwintnej mowy galijskiej, dość, iż wobec Renégo Delpit, odsuwała się zawsze niechętnie od matki.

Francuz trzymał się tym razem ściśle w granicach salonowej gawędki. Objaśniał pięknej towarzyszce właściwości przebieganego szlaku, zaznajamiał ją z nazwami miejsc i ich otoczeniem. Tu Hattenheim, słynne winem „Marcobrunner,” tam Eltville, z pobliskiemi wodami Schlangenbad'u, dalej Johannisberg, własność ks. Metternicha, głośna winnicami tegoż nazwiska.

— Cudny kraj — mówił René Delpit — wskazując z kolei poetyczne ruiny, lub potężne, ogromem i siłą zdumiewające zameczyska. — Cudny kraj .. Działa on na mnie jak narkotyk: podnieca i truje zarazem; a jednak nie mogę się oprzeć sile, która mię tu ciągnie corocznie.

— Dlaczegoż rzucać słoneczną Prowancyę, by tutaj...

— Dlaczego? Bo nie znam zaściankowego, prowincyonalnego patryotyzmu, bo jestem przedewszystkiem Francuzem, rozmiłowanym w świetnej przeszłości swojej ojczyzny. Pani, jako córa rycerskiego, a nieszczęśliwego narodu, powinnaś to lepiej od innych zrozumieć.

Orkiestra, milcząc od chwil kilku, uderzyła obecnie w nowe tony. Na pokładzie zabrzmiał hymn narodowy: *Heil dir im Siegeskranz.* Woda poniosła go dalej, a wzgórza nadbrzeżne rozgłośnem powtórzyły echem.

Szowiniści niemieccy, których nie brakło wśród pasażerów, odkryli głowy.

Parowiec przejeżdżał obok olbrzymiego posągu Germanii, wzniesionego na szczycie Rüdesheimu, dla upamiętnienia zjednoczenia się Niemiec i zwycięztw w wojnie francuzko-pruskiej. W kółku niemieckiem podniosły się znów okrzyki. Ten pomnik olbrzymich rozmiarów, dźwigniony u stóp Niederwald'u, w punkcie, królującym całej nadreńskiej okolicy, budził zadowolenie i pychę narodową. Cytowano też z dumą słowa dokumentu erekcyjnego, umieszczonego pod kamieniem węgielnym Germanii: *Steht alle einig zu Kaiser und Reich*, a poniżej: *Deutschland, Deutschland über Alles.*

(Dalszy ciąg nastąpi).

KRONIKA.

Do upowszechnienia.

Pisma codzienne przypominają o zbliżaniu się prekluzyjnego terminu dla wnoszenia opłaty wpisów szkolnych w obecnem drugiem półroczu, a zarazem o znacznej ilości młodzieży, która tych opłat dotąd wnieść nie była w możności. Po hucznym karnawale tegorocznym, wolno chyba nam będzie przypomnieć naszemu ogółowi bawiącemu się, że jest do spłacenia nie wielki, ale święty dług względem społeczności własnej, którego zaniedbanie w szczególnie nieprzychylnem świetle przedstawiłoby tamtą niedawną ochoczość zapustną. Tym razem idzie przecież zaledwie o procent od procentu tej summy, którą rozproszyliśmy lekkiem sercem i przy spokojnem sumieniu. Przypominamy tedy o tych kopiejkach na oświatę młodzieży wszystkim, którym setki rubli łatwo przychodzą.

Ufamy, że przypomnienie nie będzie daremnem.

Niewłaściwe.

W jednem z pism codziennych czytamy, iż na pewnem zgromadzeniu prywatnem zelektryzował ktoś umysły pogłoską, o blizkiem jakoby przyjeździe do Warszawy p. Paderewskiego, i co niby na jedno wychodzi (z pozoru przynajmniej) o jego ewentualnem koncertowaniu w mieście naszem. Tymczasem znaleźć się miał w towarzystwie bliższy znajomy wirtuoza, który kategorycznie autentyczności tej wersyi zaprzeczył, stawiając na jej miejsce inną wiarogodniejszą. Otóż wedle tej ostatniej, możebnem jest że p. Paderewski przyjedzie jeszcze w roku bieżącym do Warszawy, pewnem jest jednak, że ani w tym, ani w przyszłym roku słyszeć się miastu naszemu nie da, a nawet zachodzą poważne wątpliwości co do tego, czy Warszawa tę muzykę w najdalszej nawet przyszłości usłyszeć będzie mogła.

Wyznajemy, że nie często zdarza się spotkać z podobnie przesadzonem pojęciem o znaczeniu muzyki w życiu społeczności, ani z tak nawywrót wziętym stosunkiem jednostki do ogółu, z którego ona wychodzi.

Ten ogół — ta Warszawa, to przecież matka.

Dalecy od intencyi ubliżenia osobie znanego w świecie całym pianisty, przekonani jesteśmy, że podobnie jak wielu ludziom, tak i jemu niezdarstwo i nietakt reporterski oddał tym razem jedną ze zwykłych niedźwiedzich usług swoich. Niepodobnem jest bowiem do uwierzenia, aby talent muzyczny nietylko wykonawczy, ale nawet pierwszorzędnie twórczy, bez dotknięcia chorobą megalomanii mógł rościć sobie prawa do jakiegoś ze strony ogółu trwożnego a kornego wyczekiwania, o jakiem ta wzmianka daje do zrozumienia — tem mniej, aby z jakichś nieznanych ogółowi, i tego ogółu nie obchodzących pobudek miał ktoś stronić, boczyć się, dąsać ostentacyjnie. Wreszcie nie chcemy wdawać się w bliższe określenia, a tem mniej dociekania motywów tej jakiejś niby abstynencyi, czy odmowy, której doniosłości ujemnej ocenić nie jesteśmy w stanie, z naszego przynajmniej punktu zapatrywania.

Jako zasadę pojmujemy te rzeczy nie inaczej, jak że ogół, społeczność, kraj, czy naród — jak tam kto nazwać woli, dość. że ta wielka ludzka zbiorowość, jest tego stopnia potęgą, odnośnie do której jednostka każda, choćby też najwybitniejsza, a nawet najmocniej zasłużona, ma prawo uważać się tylko za jednego z miliona pionków, że zatem ten ogół czy ta zbiorowość nie może nikomu schlebiać, przed nikim się korzyć, nikogo trwożnie wyczekiwać — tem mniej prosić przebaczenia. To jest prawo niewzruszone, od którego wyższym nikt być nie może, i nad które nikt nie ma prawa wyższym się uczuwać, tem mniej manifestacyjnie okazywać swoje gniewy czy urazy, wysoce w takich razach komiczne, a wszelkie wtedy więcej czy mniej słuszne zachcianki odwetu, dla jednostki ujemnie kończyć się muszą.

Były w przeszłości, nie powiemy urazy, ale był ongi żal pewien do tej samej Warszawy, za jej sąd surowy, i dotknięta tym sądem jednostka, zyskawszy następnie wielkie tytuły do zbiorowej wdzięczności i publicznego hołdu, uchyliła się od oznak takich, gdy je miasto na jej przyjęcie zgotowało, ale uchyliła wcale nie ostentacyjnie, rozumiejąc ten stosunek nieinaczej, tylko tak, jak go świat cały rozumie i ocenia. A przecież tamte tytuły do hołdów i owacyi, o których wspomnieliśmy mimochodem, były bardzo wysokie, tak wysokie, że wejść w żadne porównanie z nimi niemoże najkunsztowniejsze nawet oddanie przy pomocy fortepianu wszystkich istniejących na kuli ziemskiej koncertów, sonat, suit, fug i rapsodyj.

Tak też (skłonni jesteśmy wierzyć) pojmuje te sprawy osoba, o której mowa, a tylko niedorzeczna uniżoność podrzędnych gazeciarskich robotników przy nieudolności swojej przedstawia rzecz całą w szczególnie fałszywem i niekorzystnem oświetleniu dla osób, i ku niesłychanemu obniżeniu pojęcia o stosunku jednostki do społeczeństwa.

To jest jednak godne zastanowienia, na jakie bezdroża gotowa jest sprowadzać reporterya dziennikarska opinję przy każdej — bez wyjątku każdej, sposobności.

Z prasy.

Wychodzący w Krakowie „Przegląd Literacki" pisze:

„Warszawskie Towarzystwo Cyklistów mianowało honorowym członkiem... Henryka Sienkiewicza. Spodziewać się należy, że Sienkiewicz napisze teraz coś bardzo wesołego, bo po tak wysokiem odznaczeniu na dobrym humorze zbywać mu nie powinno."

Przewidywanie wydaje nam się słuszne zupełnie.

Główny Zarząd do spraw prasowych ogłasza w nr. 36 „Prawitiel. Wiestnika" co następuje:

P. Jadwidze Goltz pozwolono wydawać w Warszawie pod cenzurą prowencyjną miesięcznik illustrowany p. t. „Światło" przyczem na jego redaktora zatwierdzono kandydata nauk przyrodniczych, p. Józefa Boguskiego. Program nowego pisma obejmuje: artykuły naukowe z dziedziny fotografii, fototypii, fotolitografii, litografii, chromolitografii, drukarstwa, heliograwiury i t. p. Nadto sprawozdania o rysunkach plastycznych, artykuły dotyczące bytu i stosunków handlowych pracujących na polu fotografii, kronikę, krytykę, bibliografią i t. d. Przedpłata w Warszawie rubli 5 rocznie — na prowincyi 6 rub.

Ze sztuki.

Wydawnictwo „Jednodniówki Monachijskiej," które przed półrokiem zapowiadaliśmy czytelnikom „Tygodnika," nie zawiodło oczekiwań. Dział rysunku wedle programu, wypełnili wyłącznie artyści polscy, przebywający w Monachium, a składają się nań umiejętnie rozrzucone studya, obrazy, obrazki, szkice, fragmenta, winiety i pieczęcie. Na czele portret Mickiewicza p. Stanisława Radziejowskiego; dalszych wyliczań zaniechać musimy z powodu braku miejsca, zresztą „Jednodniówka" zasługuje na osobne sprawozdanie.

Na część muzyczną wedle obwieszczeń uprzednich złożyli się: Żeleński, Maszyński i inni.

W dziale literackim znajdujemy poetów, belletrystów i krytyków, od Konopnickiej do Rydla, od Jeża do Reymonta.

Składy główne „Jednodniówki" w Warszawie: u Treptego (Marszałkowska róg Próżnej) i u Jul. Buroffa (Nowy Świat 34) — w Petersburgu u Grendyszyńskiego, w Kijowie u Idzikowskiego. Cena 2 rs. — z przesyłką rs. 2 kop. 40.

Luźne wiadomości.

Pod takim tytułem podaje „Wszechświat" krótką informacyę o instytucyach pomocy naukowej, jakiemi rozporządza Hamburg, a także i o kosztach, jakie im przyznaje budżet roczny tego miasta. Wielki zakład hygrograficzny rocznie 280 tysięcy marek — Biblioteka miejska 107 t. m. — biblioteka handlowa 10 t. m. — Obserwatoryum astronomiczne, miejskie muzeum historyi naturalnej 88 t. m. — Muzeum kolonialne botaniczne 33 t. m. — Ogród botaniczny 50 t. m. — Muzeum etnograficzne i archeologiczne 6 t. m. — Muzeum sztuk pięknych i przemysłu 60 t. m. — Miejskie laboratoryum chemiczne (wykłady popularne i specyalne) 41 t. m. — Instytut hygieniczny założony w 1892 r.

Z tych zakładów wszystkich tylko pierwszy, t. j. hydrograficzny utrzymuje państwo, resztę opędza ze swoich funduszów miasto, na co wydatkuje rocznie blizko 400 tysięcy marek, czyli jak utrzymuje „Wszechświat" o jakieś 400 tysięcy marek więcej jak Warszawa. Jest to informacya dla tych, którzy chcą dokazywać wielkich rzeczy małym kosztem.

Wskazówki i rady.

Tort z mąki gryczanej.

Pół funta masła świeżego, pół funta cukru miałkiego, ćwierć funta migdałów w łupinach utartych na tarle, 4 całe jaja i 1½ ćwierci funta mąki gryczanej, trochę wanilii. Masło uciera się na pianę, dodając po utarciu po jednem jajku, następnie cukier, migdały, w końcu mąkę po łyżce. Tortownicę wysmarować surowem masłem, wysypać bułką, wlać masę i piec w niezbyt gorącym piecu. Gdy ostygnie, przekroić dwa razy (smarując kwaskowatą marmoladą) — złożyć razem i polać przezroczystym lukrem. Łatwy i bardzo smaczny torcik.

Lucyna Ćwierczakiewiczowa.

Odpowiedzi od Redakcyi.

W-na Florkowska, Konin. „Tygodnik Mód" wysyłamy od Nr. 1.

Do numeru dzisiejszego dołącza się dodatek z modami.

SZKOŁA KROJU I SZYCIA
EMILII EHRENKREUTZ,

uczennicy Worth'a, ***MISTRZYNI CECHU.***
Nagrodzonej ***Medalem „de l'Academie Nationale des Maitres Tailleurs de Paris."***

Przy Szkole ***Pracownia Sukien. Krój*** bez żadnych poprawek.

W Warszawie, Chmielna 24, parter, front. Zgoda 3.

617—25—23

NAJLEPSZE MYDŁO DO PRANIA

bez przymieszki żywicy i innych surogatów. **Nadaje białość, zapach, dezynfekuje nie niszcząc bielizny** usuwa potrzebę używania chlorku, sody, bielidel etc. etc. Wypróbowane w szpitalach i pralniach za granicą i u nas. Wyrabia fabryka

„STĘPKOWSKI & SZYMAŃSKI"

Żądać wszędzie. *Warszawa, Wolność 16. — Telefonu 1110.* 707-26-21

SZKOŁA KROJU i SZYCIA
MARYI MACIEJOWSKIEJ

System francuzki, nauka dokładna i sumienna. Na żądanie ***Patenty cechowe.*** Osoby przybyłe z prowincyi mogą znaleźć wygodne pomieszczenie.

NOWY-SWIAT 56, m. 5. 614—25—25

SKŁAD MEBLI
majstrów stolarskich

Marszałkowska 136, róg Ś-to Krzyzkiej, I-sze piętro.

Wielki wybór mebli z własnych warsztatów. Tapicernią własna.

668-24-17 Zarządzający ***Julian Goetze.***

PIERWSZA SZKOŁA KROJU I SZYCIA
M-me MERCÈRE

Nowy-Świat № 20.

Kursa wyższe i niższe, teoryteczne i praktyczne, system oryg. **Paryski**, zdejmowanie fasonów bez rysowania form, warunki b. przystępne, wykład w 4-ch językach, uczennice otrzymują **patenta z Cechu.** Pensyonarki korzystać mogą z fortepianu, konserwacyi francuskiej i niemieckiej.

785-6-6



713—12—7

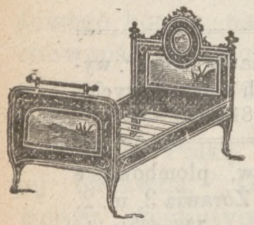
Magazyn Instrumentów Muzycznych i Strun Włoskich
J. FEIGENBAUMA
w Warszawie, ulica Marszałkowska N. 153, róg Królewskiej
Specyalna pracownia wszelkich instrumentów muzycznych.

M-me ANNA

poleca: **suknie spacerowe Genre tailleur**

Marszałkowska 116.

611—25—25

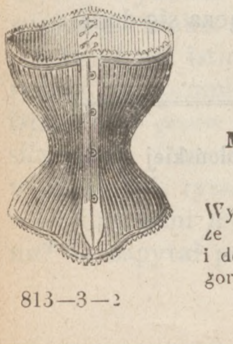


116. MARSZAŁKOWSKA 116.
SKŁAD FABRYCZNY
Mebli żelaznych, Wózków i Welocypedów dziecinnych
z oddziałem pościelowym
J. Neufelda, w Warszawie,
MARSZAŁKOWSKA 116.
Poleca swe wyroby i artykuły pościelowe po cenach fabrycznych nizkich. Cenniki na żądanie gratis i franco. 695-26-14
Adres dla listów: **Pańska 33 (fabryka).**



Pracownia Sukien i Okryć Damskich 709-25-13
Maryi RYGIER
w Warszawie, Aleja Jerozolimska Nr 43, m. 10, druga brama, parter.

PRACOWNIA GORSETÓW I WYROBÓW POŃCZOSZNICZYCH
HELENY K.



pod firmą
M-me ANNA

Marszałkowska 84, między Żórawią a Wspólną.

Nagrodzona na Wystawie Pracy Kobiet za Gorsety Hygieniczne **Listem Pochwalnym.**

Wyrabia oprócz fiszbinowych gorsety hygieniczne nieznane dotąd w kraju ze sprężynkami angielskiemi nigdy się nie łamiącemi, a bardzo miękkiemi i doskonale utrzymującemi figurę. Gorsety do konnej jazdy, leniuszki, gorseciki dla panienek nie tamujące ich rozrostu. Posiada wszelkie wyroby pończosznicze, przyjmuje nadrabianie pończoch.

813—3—2

M-me Parascovie.

Po długoletniej praktyce w kraju i zagranicą
OTWORZYŁAM 675—25—17
PRACOWNIĘ SUKIEN i OKRYĆ DAMSKICH
przy ulicy BIELAŃSKIEJ № 23, w Warszawie.

M=me Parascovie.

Bielańska 23. Bielańska 23.

Egzystująca od roku 1824
FABRYKA WYROBÓW PLATEROWANYCH
1 Srebrnych 84 próby
Józefa Fraget,
w Warszawie, ulica Elektoralna Nr. 16.

WŁASNE MAGAZYNY ZNAJDUJĄ SIĘ:

W WARSZAWIE: Senatorska 17, Krakowskie-Przedmieście 69, Nalewki 16. 738-26-14 ŁÓDŹ: Piotrkowska 16.



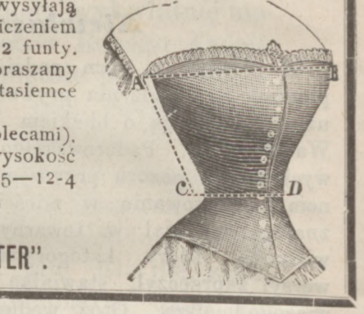
PATENTOWANY SZYNDLERA
Biusthalter.

Znany we wszystkich państwach Europy i Ameryki wynalazek, nadający każdej figurze estetyczne kształty, zdobył uznanie i listy dziękczynne wszystkich, korzystających z niego pań. **Biusthalter, daje w ciągu całego dnia zupełną swobodę ruchów i dla tego też poleca się WSZYSTKIM, bez wyjątku paniom: pracującym w biurach, szkołach, handlach, gospodyniom przy domowych zajęciach, podróżującym, uprawiającym sport, jak również paniom, znajdującym się w odmiennym stanie, karmiącym piersią, a nawet cierpiącym.** Biusthalter opatentowany w 13 państwach, odznacza się eleganckiem wykonaniem z najlepszych materyałów używanych na gorsety.

CENY	AA	A	B	C	DD (jedw.)
	3.50 k.	4.50 k.	5.75 k.	6.75 k.	9.50 k.

Obstalunki detaliczne wysyłają się pocztą wszędzie za zaliczeniem z dopłatą za przesyłkę za 2 funty. Przy obstalunkach, upraszamy przysyłać miarę w centymetrach, werszkach, albo na tasiemce według rysunku:

1) **Pełny** obwód, mierząc pod pachą (wraz z plecami), od A do B. 2) **Pełny** obwód stanu od C do D i 3) wysokość boku od A do C. 775—12—4



Wyłączna sprzedaż na Cesarstwo i Królestwo Polskie
w Warszawie, Senatorska 26.
Adres dla listów: Warszawa „SZYNDLERA BIUSTHALTER".

SKŁADY MATERYAŁÓW APTECZNYCH
Ludwika Spiessa i Syna
W WARSZAWIE:
ulica Senatorska № 46 5 i Marszałkowska 140,
W ŁODZI:
ulica Piotrkowska, dom „K. Scheiblera",

polecają:

Oliwę do jedzenia najlepszą Nicejską i Prowancką;
Octy: winny, stołowy, Estragonowy i kuchenny, 831—5—1
Gelatinę białą i różową do galaret;
Cacao Van Houten'a wzmacniające w 1/1, 1/2 i 1/4 puszk;
Ekstrakt słodowy odżywczy ***Halla i Trąbczyńskiego;***
Farbki, Krochmale do bielizny w najlepszych gatunkach;
Oliwę do palenia zupełnie czystą i do maszyn;
Vin St.-Raphaël;
Zaprawy do podłóg woskowe i terpentynowe;
Wodę kolońską własnego wyrobu w najlepszym gatunku i ***Ekstrakt*** do robienia wody;
Perfumy angielskie i francuskie na luty;

oraz

wyłączna sprzedaż w filii,
przy ul. Marszałkowskiej 140:

Farby anilinowe do domowego użytku, w różnych kolorach do farbowania wełnianych, bawełnianych i jedwabnych materyałów;
Farbę kremową do firanek, koronek i różnych tiulów;
Farbę kolońską do włosów, marki Nr: 4711 w 4-ch kolorach,
Wodę toaletową z nadreńskich kwiatów, ***Wodę kolońską*** w kilku gatunkach, ***Perfumy i Mydła.***

Nowootworzony Magazyn
Braci JACOBSOHN, *Długa 53,* poleca:

803—13—7

KWIATY

sztuczne podług najświeższych francuskich modeli, pióra fantazyjne i strusie oraz ***wstążki jedwabne.***

Дозволено Цензурою. Варшава, 25 Февраля 1898 г. Warszawa, Druk Emila Skiwskiego. Redaktor i Wydawca **Jan Skiwski.** **DODATEK**

Juliusz Zeyer.

JAN MARYA PLOJHAR.

PRZEŁOŻYŁ

MIRIAM.

(Ciąg dalszy).

— Dobrze, prowadź mnie więc do swego narzeczonego — rzekł ksiądz i powstał także.

Blada twarz Cateriny zapłonęła rumieńcem. Ksiądz stał już oto, gotów połączyć ją z człowiekiem, którego dusza jej sobie wybrała, a on, ten człowiek, którego kochała, nie wiedział dotąd o niczem i nie myślał wcale o małżeństwie! Myślał o śmierci i o rozstaniu z nią! Stała, wahając się, co teraz począć. Wtem drzwi otworzyły się — i Jan Marya w nich stanął. Zdecydował się, chciał odjechać, wbrew obietnicy nie chciał czekać na odpowiedź Luigi'ego. Ta mogła być niepomyślna, a czuł, że, jeśli wogóle chce odjechać, musi uczynić to zaraz—za jakiś dzień może nie będzie już miał dość nawet sił cielesnych. Wstał z łóżka i kazał się Franciszkowi ubrać starannie.

Dowiedział się od Suntarelli, że Contessina już wstała i że można się z nią widzieć. O donie Clemente staruszka nie wspomniała, nie śmiała powiedzieć mu o tem; myślała, że ksiądz przyjechał po to tylko, aby ostatnich udzielić mu Sakramentów, i litość nie dawała jej wzmiankować o tem choremu. Poprowadziła go na górę po schodach — sam nie zdołałby już wejść na nie — i dopiero u samych drzwi szepnęła mu: — Don Clemente przejeżdżał koło domu, zobaczył Contessinę na tarasie, a ona zaprosiła go...—Po tych słowach otworzyła drzwi, a sama pobiegła nazad korytarzem, aby ukryć płacz.

Jan Marya, wszedłszy do pokoju, wsparł się przez chwilę ze znużeniem o drzwi, potem pozdrowiwszy obecnych, padł na najbliższy fotel. Milczał. Odgadł, czego Suntarella wyraźnie rzec mu nie śmiała. Wiedział, że don Clemente nie przyjechał przypadkiem, wiedział tedy, po co tu jest.—Uważają mnie za umierającego — pomyślał ze smutkiem, i zaraz potem uśmiechnął się. Jakiż z niego był waryat! Czyż to było grzechem? A za cóż innego mogli go uważać?

— O, pocóżeś wchodził na schody — wyrzucała mu Caterina, widząc, że oddycha z trudnością. Don Clemente podał mu rękę w milczeniu.

— Jesteś pan bardzo łaskaw, żeś przyjechał — rzekł Jan Marya. — Toś ty, Caterino, prosiła dona Clemente, żeby przyjechał?

— Tak—rzekła i spuściła oczy.

Jan Marya milczał chwilę.

— Nie mogę — rzekł potem — być teraz u schyłku żywota kłamcą i obłudnikiem, skoro nim przedtem nigdy nie byłem. Don Clemente, czczę powołanie pańskie, szanuję kościół, ale nie jestem tem, co ludzie nazywają dobrym katolikiem, ba, nie jestem nawet w zupełności wierzącym chrześcianinem. Nie mogę Boga tak sobie wyobrazić, jak wy nauczacie, acz nieokreślnie weń wierzę, i dla tego nie zdołałem go również nigdy żywo miłować, acz często wielkie miłości tej czułem pragnienie. Był mi zawsze abstrakcyą. Chrystusa miłuję, ponieważ go rozumiem. Miłuję go gorąco. Z tego, co powiedziałem, osądź sam, ojcze, czy mogę przyjąć, a ty czy możesz dać mi ową pociechę, której udzielić mi przyjechałeś. Pojmuję Sakrament ciała Chrystusowego jako symbol, a jako taki, byłby mi piękną, znaczącą i wielką pociechą.

— Pojmuj go tedy, synu, tak — rzekł don Clemente marząco—skoro inaczej nie zdołasz. Wszystko wielkie i święte na ziemi jest podobieństwem, na dnie którego kryje się Bóg. Prawdę absolutną zna tylko On, sam prawdą będąc. Ty nie pojmujesz go, za to On ciebie, i przeto miłościw ci będzie. — Ale, drogi panie, nie przyjechałem tu bynajmniej, aby wywierać nacisk co do Sakramentów, których nie żądałeś, acz chętnie ich panu udzielę, jeżeli czujesz się ich godzien, choćby jako symbolu.

— Nie po to przyjechałeś pan? — zdziwił się Jan Marya i spojrzał na Caterinę. Ta zrobiła krok bliżej ku niemu.

— Nie—rzekła—don Clemente przyjechał, aby nas zaślubić. Prosiłam go, a on mnie wysłuchał.

— Działałaś na swoją rękę, nie umówiwszy się z narzeczonym bez jego wiadomości? — spytał zdumiony don Clemente.

Caterina mu nie odpowiedziała. Ujęła za rękę oniemiałego ze zdziwienia Jana Maryę. Na słodkiej jej twarzy jaśniał odblask uśmiechu i rumieniec leciuchny, jak rozświt pierwszy.

— Wyznałam ci wprzód, niż ty mnie, że cię kocham—rzekła cicho—a teraz proszę cię znowu o to, na co powinna byłabym czekać, aż ty mnie poprosisz. Ale cóż mi pozostawało innego? Słyszałeś donnę Paolinę. Myślisz, że dozwolę, aby ci spokój zakłócano? Myślisz, iż puszczę cię ztąd? Albo, że zostawię cię na pastwę walk wewnętrznych z różnymi twymi skrupułami? Jeśli chcesz do Rzymu, pójdę z Tobą. To wszakże zrobić mogę tylko jako twoja żona, aby nie wzburzać twej delikatności, abyś o żadnej ofierze nierozsądnie mówić nie mógł. Sama nie dbałabym o nic, nawet o to, co się przyzwoitością nazywa. Gdy więc prosiłam dona Clemente, aby przyjechał, gdy sama proponuję ci swoją rękę, nie jest to grzech przeciwko skromności dziewiczej, bo działam pod naciskiem okoliczności, bo wiodła mię jedynie chęć oszczędzania twej drażliwości.

Przycisnął rękę jej do serca.

— Caterino — rzekł po chwili ze wzruszeniem — nie wiem, czy wolno mi ofiarę taką przyjąć... O, nie mam dość siły, aby oprzeć się temu! O, skonać więc jednak tutaj, blizko ciebie... Boże mój, czyż zasłużyłem na takie szczęście? Mów pan, don Clemente, czyż to wszystko jest możliwe?.. A prawa...

— Nie troszcz się pan o nic — rzekł Clemente — masz pan prawo i możesz przyjąć, co ci Contessina proponuje.

— Pisałam już także do Luigi'ego—rzekła Caterina — a don Clemente pojedzie ztąd wprost do Rzymu, dam mu twoje papiery, wiem, gdzie leżą; on i Luigi pójdą do twojego poselstwa, drogą telegraficzną takie kroki szybko się załatwiają. Pamiętam podobny wypadek z jedną z mych koleżanek, która brała ślub z cudzoziemcem w ...

Umilkła, połknęła zakończenie zdania: — w ostatnich chwilach jego życia.

Jan Marya nie zauważył tego, był zatopiony w myślach.

Suntarella weszła, otwierając drzwi prowadzące z salonu do jadalni.

— Czy mogę służyć, don Clemente? — rzekła pokornie; — w obocznym pokoju przygotowałam kawę. Może ksiądz raczy się zagrzać przed zaczęciem...—Milczała chwilkę.— Czy niczego tu nie potrzeba? — dodała potem.

— Owszem—rzekł don Clemente.—Proszę przynieść krucyfiks i dwie świece, a potem zawołać zakrystyana i starego Francesca. Będą świadkami?

— Świadkami—zdziwiła się Suntarella.

— Tak — rzekł don Clemente — a ja tymczasem wypiję filiżankę gorącej kawy, za którą dziękuję ci z góry, poczciwa Suntarello.

Poszli do jadalni, gdzie don Clemente w istocie pół filiżanki kawy wypił.

Suntarella nie mogła ochłonąć ze zdziwienia, ale zapaliła świece, przyniosła krucyfiks i zawołała owych świadków, którzy dziwili się jak ona, po co ich wołają.

— To wygląda na ślub—potrząsała Suntarella głową.

Don Clemente objaśnił wszystkim trojgu w kilku słowach, o co chodzi, wziął sam, gdy oni stali w osłupieniu, dwie poduszki z kanapy i położył je na ziemi przed improwizowanym ołtarzem, na którym dwie świece, po obu stronach pięknego, starego krucyfiksu z kości słoniowej, jasno gorzały.

Caterina otworzyła tymczasem sekretarzyk hebanowy i wyjęła złote klejnoty, niegdyś w etruskim znalezione grobie i po monsignorze Astucci'm odziedziczone. Pokazała je donowi Clemente.

— Chętnie uczyniłabym zadość życzeniu nieboszczyka—rzekła—pragnął, jak wiesz ojcze, abym te klejnoty w dzień ślubu miała na sobie. Ale dzisiaj nie mogę. Wydaje mi się to tak nieodpowiedniem. Na mnie, na tobie, ojcze, na wszystkich teatralne by to dziś robiło wrażenie.

Położyła klejnoty na stole, a don Clemente kilka chwil okiem znawcy im się przyglądał. Nikt ich zresztą nie tknął, i zapomniano o nich po chwili.

Caterina i Jan Marya uklękli — i don Clemente dopełnił cicho, z gorącością wewnętrzną i widocznem wzruszeniem świętego obrzędu. Pokój pełny był tłumionych łkań Suntarelli i starego Francesca, ale narzeczona i narzeczony odpowiadali cicho, poważnie i spokojnie.

Nareszcie, należeli do siebie! Don Clemente pomógł Janowi Maryi wstać z poduszki i poprowadził go ku kanapie, gdzie chory usiadł. Caterina pochyliła się ku niemu, wcisnął jej pocałunek na czoło. Potem wziął ów złoty wieniec etruski i włożył jej na gło-

wę. Była czarodziejsko piękna z tą jaśnią złota nad bladem czołem, z temi nawpół przymkniętemi oczami, pełnemi omdlałości, rozmarzenia, głębokiemi bezdennie, i z tym nieziemskim na ustach uśmiechem.

— Oddaję się mrokom grobu — myślała w głębi duszy.—A ty, mój Janie Maryo, zdobisz nieświadomie śmierci ofiarę!

— Jakże mało przeczuwali obecni, gdzie myśli jej błądziły!

— Teraz — rzekł don Clemente — jadę do Rzymu. Zostańcie z Bogiem!

Głęboko wzruszony podał rękę młodemu człowiekowi. Jan Marya zatrzymał ją w swojej.

— O, don Clemente—szepnęła Suntarella—jakto, tak odjechać...

Jan Marya odgadł.

— Zostań, ojcze — prosił księdza — zostań ze mną chwilę w samotności.

Don Clemente zrozumiał, dał ręką znak i wszyscy cicho się oddalili.

— Powiedziałem ci, ojcze — rzekł Jan Marya, gdy zostali sami—że nie należę do wierzących. Nie mówi ze mnie zatwardziałość, ani pycha nierozsądna. Żałuję, żem wierzyć nie zdołał, żałuję, żem wiary z większą nie szukał gorliwością, może byłbym stracony ten skarb odnalazł. Rzekłeś mi, ojcze, że rad byś mi sakramentu udzielił, gdybym go żądał... Ojcze, pragnę tego symbolu! Czylim godzien? Sądź mnie. Wyznam ci wszystkie swe grzechy.

— Mów, synu — rzekł don Clemente. — W imię Boga miłosierdzia!

— Ojcze, miałem okamgnienia rozpaczy, w których wierzyłem w Boga, lecz zarazem nienawidziłem go, nienawidziłem przeto, iż zezwalał na krzywdy wyrządzane tym, którzy mi niewysłownie byli drodzy. Nienawidziłem go za to, iż zapominał o ziemi, w której się zrodziłem, iż dał ją za podnóże hordom cudzoziemców. Odpuściż mi Bóg?

— Bóg nie jest człowiekiem—odpowiedział don Clemente.— Ten tylko spłaca nienawiść nienawiścią. Bóg wie, że nienawidziłeś go przez omyłkę, że go zatem miłować potrafisz, gdy go poznasz. Ta nienawiść lepszą była niż obojętność. On zna cię lepiej, niż ty sam siebie. On się zmiłuje. Pojmuję cię, synu. I ja widziałem kraj swój w przemocy cudzoziemców. Mów dalej.

— Ciężkim grzechem mym—rzekł Jan Marya—była nienawiść.—Dobyłem w zaślepieniu wściekłości broni przeciwko człowiekowi, aby go zabić. Drgnąłeś; ojcze? Posłuchaj wszakże, co mam na usprawiedliwienie swoje. Powód naszego sporu nie był osobisty, był taki, że snadź i w tej jeszcze chwili za broń bym chwycił... On i ja byliśmy równie winni, niechaj Bóg obu nam odpuści. Ojcze, człowiek ten zniweczył ciężkim ciosem młodość moją, siłę, życie moje. Człowiek ten ograbił mię wówczas z najwyższego szczęścia na ziemi, bo umieram dziś z rany przez niego zadanej, odebrał mi zatem Caterinę. Ojcze, przed Bogiem i na honor swój, przebaczam mu w tej chwili zupełnie i dobrowolnie, bez cienia nienawiści, bez cienia goryczy, z takim uśmiechem pojednania w duszy, jaki pragnąłbym ujrzeć w źrenicach Chrystusa, gdy ostatnia moja nadejdzie godzina... Powiedz, zmyliłem ów grzech?

Don Clemente wziął go za rękę i rzekł cicho:—Zmyłeś go!

Jan Marya spuścił głowę, milczał chwilę, potem ciągnął dalej:

— Życie moje nie było czyste, nie było bez samolubstwa. Zmysły zawiodły mnie na bezdroża. Poznałem skutkiem tego, czem jest rozpacz i palące zgryzoty sumienia. Upadłem głęboko, gardziłem sam sobą, wylałem wiele łez pokutniczych. Miłość ku Caterinie podniosła mnie. Była czysta, wielka, prawa. Jedno jedynie było mgnienie oka, że przeklęte przystąpiło do mnie pokuszenie, że zmysły w stare sidła chwycić mię chciały, ale jedno spojrzenie nie przeczuwającej nic Cateriny zbawiło mnie. Don Clemente, nawet w chwilach najgłębszego upadku była mi czystość ideałem, do którego dusza moja tęskniła. Wolnoż mi wnosić z tego, że nigdy w zupełną nie padłem zagubę?... Don Clemente, oto wszystko, co powiedzieć mogę o sobie... Błędy pomniejsze wyszły mi z pamięci.

Umilkł znużony.

Don Clemente jął mówić cichym, marzącym, uroczystym głosem:

— Aczkolwiek błądziłeś, synu, powróciłeś w dom ojca swego. Bóg wystawia na próby dusze nasze, aby się stały godne tej wolności, którą je obdarzył. Jesteśmy ludźmi, padamy, jeśli wszakże tęsknimy do Boga, tedy do dobra, i jeśli miłujemy bliźniego, jesteśmy na drodze, wiodącej z powrotem ku niewinności. Wielki grzech staje się wielkiem zbawieniem, jeżeli następuje po nim wielka, prawa, dobrowolna skrucha. Stoisz, synu, u progów nowego istnienia. Wejdź spokojnie w ten świat nieznany. Pragnąłeś podnieść się — i Bóg cię podniesie. Któż może wiedzieć, jakie próby, jakie boje tam nas czekają, zanim dojdziemy do takiej doskonałości, że Bóg nam powie: teraz jesteś zupełnie mój? Ale kto już tutaj, w tęsknocie za wyżynami, w lot się wzbija, ten zaiste wznosi się tam coraz wyżej, wyżej, aż zajaśnieje w chwale pierwotnej, którą duch Boży od zaczątku go obdarzył, a którą ziemskie ścmiły jeno grzechy. Wejdź w pokoju, za przewodem miłości, ukrzepion zmiłowaniem Bożem, w nową przyszłość pełną tajemnic i nadziei pełną!

Jan Marya patrzał mu w oczy, w których wielkie, święte płonęło natchnienie, i mir, pogoda, niby cudem, weszły mu w duszę. Spuścił głowę — i cicha modlitwa dziecięca, jak się jej ongi w Hawranicach był uczył, popłynęła mu z ust nawpół bezwiednie, z nowem teraz znaczeniem.

Don Clemente modlił się nad nim i dał mu rozgrzeszenie. Potem otworzył drzwi. Wszyscy weszli i uklękli — i don Clemente podał choremu Ciało Pańskie.

Jan Marya, przyjmując, czuł się szczęśliwym. Przed okiem duszy ciągnęła mu wielka, słodka wizya Chrystusa, jak ją znał i miłował z malowideł prymitywów włoskich, widział Zbawcę tak, jak go był Angelico w klasztorze świętego Marka we Florencyi wyobraził, tam, w tej celi, gdzie Chrystus przy ostatniej wieczerzy apostołom chleb i wino rozdaje, i serce biło mu znowu ekstazy pełnem biciem, jako zawsze przed utworami świętego tego mnicha. Ale teraz ekstaza żywsza była i błogości niewysłownej pełna, bo zdało mu się, że umiłowana postać owa pochyliła się nad nim i z uśmiechem przebaczenia z głębin pokutnej, skruszonej pokory ku sobie go podnosiła...

Po modlitwie, legł Jan Marya na kanapie i don Clemente ostatniego udzielił mu namaszczenia, poczem wszyscy znowu z pokoju wyszli.

Jan Marya odpoczywał chwilę.

— Dziękuję ci, ojcze — rzekł potem. — Żegnam cię. Bądź Caterinie pociechą, gdy mnie już tu nie będzie. Bóg da jej szczęście. Czystą, jak lilia, oddaję ci ją. Pamiętaj te słowa moje i powtórz je temu, który— szczęśliwszy, niż ja, a zaiste i jej godniejszy—po drodze życia z nią pójdzie. Pragnąłbym, aby to był Luigi Galli. Powtórz mu, ojcze, wszystkie moje słowa, bo wiesz sam, iż obmowa i nizkie podejrzenia nawet do jej czystości zbliżyć się śmiały. Oświadcz też Luigi'emu braterskie me pozdrowienia i dzięki. Był czas, gdym nań z zawiścią spoglądał, gdym o niego był zazdrosny. Niech mi to odpuści. Ach, jest to dodatek do mej spowiedzi.

Uśmiechnął się słabo.

Don Clemente powstał, podali sobie w milczeniu ręce, uścisnęli się—i w milczeniu, ale głęboko wzruszeni się rozstali.

Po odjeździe dona Clemente zapanowała głęboka cisza w domu w San Cataldo. Nikt nie mówił głośno, drzwi zamykano i otwierano z największą ostrożnością, a kobiety, oprócz Cateriny, wybuchały co chwila, znalazłszy się w jakimś zakątku, spazmatycznym płaczem. Nawet stary Francesco zaszlochał kilka razy w ciągu dnia. Caterina jedna była napozór spokojna. Siedziała cały dzień koło Jana Maryi, leżącego na kanapie i zapadającego co chwila w dziwny jakiś półsen. Nikt nie wiedział, jak dzień ten właściwie upłynął. Wszystko odbywalo się jak we śnie. Pod wieczór odprowadził Francesco chorego do jego pokoju i położył go do łóżka. Późno w nocy przyszedł jeszcze list od Luigi'ego.

— Robimy wszystko, co się da — pisał — don Clemente i ja. Idzie wszystko pomyślnie. Bądź spokojna, Caterino, mówiłem z markizem, a don Clemente z donną Paoliną. Nikt wam spokoju nie zakłóci. Pojutrze przyjadę do San Cataldo, wcześniej nie będziemy mogli ztąd się ruszyć ani ja, ani don Clemente, który powiada mi, że mąż twój jest tylko osłabiony, ale zresztą pomocy mej w tej chwili nie potrzebuje.

Caterina przeczytała tę kartkę Janowi Maryi, i oboje uśmiechnęli się, że Luigi pisał:—twój mąż.—Wydawało im się to takiem dziwnem i nieprawdopodobnem.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Marszałkowska 101. * ZEGARKI. • W. RUDNICKI • BIŻUTERYA. * Marszałkowska 101.

697—25—14

Otrzymałem ostatni żórnal z Paryża na wyrób grzywek i pukli.

Zakład Fryzyerski

Stefana

Nowo.Senatorska Nr. 1, Hotel Rzymski.

Specyalny zakład Fryzyerski czesania dam podług ostatniego żórnalu, przyjmuje zamówienia w zakładzie, na mieście i miesięczne.

Nowo-Senatorska Nr. 1. Hotel Rzymski.

Stefan.

Otrzymałem Esencye perfum z Gras, jedna kropla więcej znaczy jak innych cały flakon.

830-4-1 **Łut 50 kop.**

Nowo-Senatorska Nr. 1, Hotel Rzymski.

Stefan.

Gabinet-dentystyczny.

ze specyalną pracownią do wstawiania

ZĘBÓW SZTUCZNYCH

od 1 do 10 rub. za sztukę

818-52-2 **przyjęcie od 9 do 6:**

Chmielna N-r 16. m. 4.

Za dozwoleniem Gub. Urzędu Lekar № 149/1879 na ogólnych zasadach handlu.

BELLARINA

Środek dla przywrócenia siwym włosom pierwotnego koloru. 824—4—2

Dostać można we wszystkich **Perfumeryach, Składach Aptecznych i Zakładach Fryzyerskich.**

SKŁAD HURTOWY u

M. CWIERDZIŃSKIEGO

ulica Nowolipie № 12.

Eau Végétale. Woda roślinna.

Najlepsza i najpewniejsza do farbowania włosów na kolor Szatin, Brun i Noir.

Od wielu lat jak środek ten pojawił się w Warszawie i coraz zjednywa sobie liczniejszy zastęp klienteli, a wskutek zalet jakie posiada. Eau Végétale zaraz po jednorazowym użyciu zmienia osiwiałe włosy na kolor pierwotny, nie brudząc ciała ani bielizny, nie pozostawia po sobie rudawych odcieni, ale nadaje kolor naturalny i trwały. Eau Végétale jest jedyny środek najsolidniejszy i najradykalniejszy przeciw siwiznie. Cena całego kompletu Rs. 2 kop. 50, bez szczotek i pudełka rs. 2; za wysyłkę pocztową kop. 50.

Naumyślnie sprowadzony specyalista do farbowania włosów na miejscu.

w Zakładzie Fryzyerskim STEFANA

829—4—1 **Nowo-Senatorska Nr 1, Hotel Rzymski.**

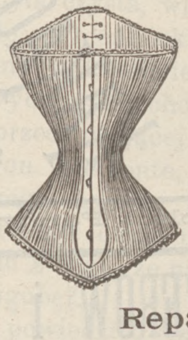
SPRZEDAŻ MASZYN DO SZYCIA

ulepszonego systemu SINGERA

na rozpłaty tygodniowe, za gotówkę 15% rab.

Józef RABINOWICZ

Leszno Nr. 24, m. 6. 821—25—1



Nowa Pracownia Gorsetów

„CAROLINE”

w Warszawie, ul. Chmielna №. 11,

poleca: różnorodne gorsety, od skromnych do najwykwintniejszych gorsety sznureczkowe, na włosiu, staniczki, półgorseciki, leniuszki gorsety do konnej jazdy, szeleczki do prostego trzymania i t. p.

Fasony zgrabne, wykonanie staranne. Wysyłka za zaliczeniem pocztowem, a przy listownych zamówieniach należy podać całą objętość w talii, w gorsie i długość boczku od talii do podramienia.

Reparacya i pranie gorsetów. 770—8—4

Płótna Jarosławskie, Bieliznę stołową, Firanki, Kołdry pikowe oraz Wyroby bawełniane Moskiewskiej fabryki **„Sawy Morozowa & Co.“**

poleca Magazyn 781—10-6

N. I. WEDERNIKOWA

Nowy-Świat № 72, w gmachu I-go męskiego gimnazyum.

NOWOŚĆ!

Hurtowa i detaliczna sprzedaż ulepszonej nafty z dostawą do domu.

Garniec 32 kop.

„NAFTOL”

Królewska 16. 756-12-12

Dla Pań malujących

Farby, Przybory Artystyczno-Malarskie, Wzory, Szkice, Rzeźby i t. p. poleca Skład

T. CZARNOCKIEGO

101, Marszałkowska 101,

w WARSZAWIE. 812-50-5

Pracownia Rzeźbiarska w drzewie

D. URBAŃSKIEGO

w Warszawie, ulica Bracka № 12.

Przyjmuje roboty kościelne, salonowe, meblowe, modele do odlewów i wszelką galanteryę.

CENY UMIARKOWANE. 780—24-7

SAINT-LÉHON

Wino toniczne, odżywcze i wzmacniające, prawdziwe i jedyne wino dla rekonwalescentów. Do nabycia we wszystkich aptekach i składach aptecznych. 729-25-21

REKOMENDACYA SŁUZBY.

Obecnie otworzyłem Kantor Kaucyonowany Rekomendacyjny Służby, pod swoją firmą **Plac Zamkowy Nr 91, róg Podwala**

bez wpisowego

a to dla udogodnienia Sz. Państwu. Będę się starał zasłużyć na względy jak w latach poprzednich. Z Szacunkiem

820—12—3 **S. Karasiewicz.**

Magazyn Sukien Damskich

J. Kochańskiej

Hoża Nr 8. 811—6—5

wszelkie obstalunki wykonywa podług najnowszych żurnali.

Ceny umiarkowane.

Fabryka Kwiatów sztucznych

Wróblewskiej

Marszałkowska 140, m. 5,

poleca piękne wyroby, tak balowe, jako też i kapeluszowe, po cenach bardzo przystępnych. 808—13—5

Nowo-otworzony Magazyn Mód

L. ZIELINSKA

11. NIECAŁA 11, I piętro. 692-40-28

Krucza 19, m. 21.

PRACOWNIA SUKIEN DAMSKICH

W. Bednarskiej,

Wykończanie sukien eleganckie, prędkie i tanie. 809—6—5

765—13—12 **DOSTAWCA DWORU JEGO CESARSKIEJ MOŚCI**

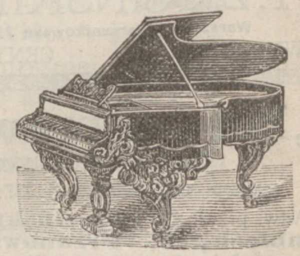
24 Nowy-Świat 24

K. M. Schröder

24. Nowy-Świat 24.

POLECA:

FORTEPIANY i PIANINA



w wielkim wyborze i po cenach przystępnych

w Składzie fabrycznym

w Warszawie.

ILLUSTROWANE CENNIKI na żądanie gratis i franko.

24. NOWY-SWIAT 24

NOWY ZARZĄD

CZYTELNI DLA KOBIET

Warecka 9.

Stale zaopatruje z nowości wszystkie działy. Bogaty dobór dzieł poważnych oraz klasycznych w 5 językach. Dla abonentek bez dopłaty 18 czasopism w 4 językach. Abonament miesięcznie **40** kop. 817—32—3.

Wysyłka na prowincyę.

Po dziesięcioletniej praktyce w pierwszej haftarni Panny Bobrowskiej, otworzyłam pracownię haftów i przyjmuję roboty maszynowe i ręczne. 759-24-8

Miodowa Nr. 1.

miesz. 17, 2 brama 1 piętro

GAMASTON

Wiara ✽

Nadzieja ✽

Miłość ✽

Nowelle, z illustracyami

A. Kamieńskiego i S. Sawiczewskiego.

Rs. 1 kop. 50.

Do nabycia we wszystkich księgarniach i w Administracyi

„Tygodnika Mód i Powieści.”

Ważne dla pp. Krawcowych!

Kroazy we wszystkich kolorach, Niciank, Towary Norymberskie i wszelkie dodatki do sukien po cenach najniższych 758-25-8

poleca Magazyn

M. SADOWSKIEGO

7. PODWALE 7.

Władysław Popiel

JUBILER,

WARSZAWA, SENATORSKA № 6,

poleca wielki wybór gotowej biżuteryi po cenach umiarkowanych. 654-26-21

SPECYALNY ZAKŁAD

Reparacyi maszyn do szycia

W. KALINOWSKI

Wspólna Nr. 15 785-50-12